Opłata pocztowa uiszczona ryczałtem

WIR ŚWIATA

tygodniowa rewja prasy

№ 25 — CENA 40 gr.

WARSZAWA 7-X-1934 R.

DZIŚ W NUMERZE:

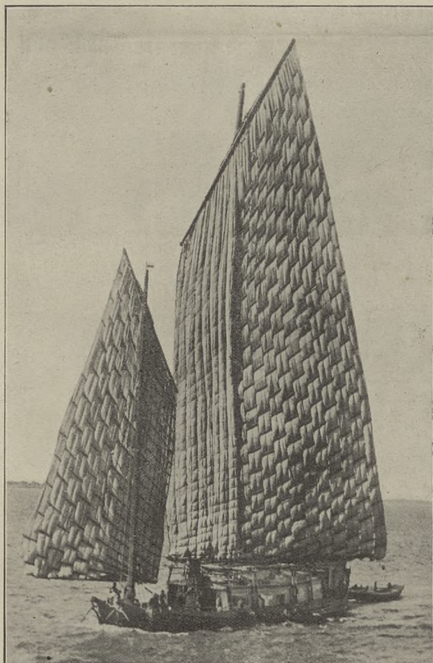
ZAINTERESOWANIE POLSKĄ

Anglik o „izolacjonizmie" Polski

W wiecznie zmiennej rewji zdarzeń uwaga świata zwróciła się ostatnio ku Polsce, jako europejskiej „krainie cudów". Zimne wzruszenie ramion na propozycję Paktu Wschodniego i „wybuch" mniejszościowy pułk. Becka w Genewie stanowią oznaki przemian, które uczyniły z Polski ośrodek ogólnego zainteresowania.

Po dokładnem zwiedzeniu całego kraju, znajduję, że polacy bardziej, niż kiedykolwiek przedtem w ciągu piętnastu lat, aprobują politykę nawpół-politycznego i kulturalnego odosobnienia od reszty Europy.

„Nie mamy zamiaru stać się polem bitwy dla najbliższej wojny europejskiej". W ten sposób wybitny urzędnik Ministerstwa Spraw Zagranicznych zreasumował mi cele polskiej polityki zagranicznej, oddając zapewne dokładnie nastrój całego narodu.



Dżonka chińska

(do artykułów na str. 6 i 7-ej)

Opinja w Polsce jest dziś bardziej nacjonalistyczna, niż w jakiemkolwiek innem państwie Europy. Na każdym kroku napotykałem w Polsce istną epidemję „izolacjonizmu", któryby uradował serca Lordów Beaverbrook'a i Rothermere'a. Mój przyjaciel polski określił tę tendencję jako „zdecydowane postanowienie unikania przymierzy". I w tem także przejawia się nagłe odwrócenie się od wpływów francuskich.

Polska nie chce już więcej stanowić igraszki dla francuskich polityków. Dąży do zajęcia pozycji Wielkiego Mocarstwa. Jedną z niezliczonych pomniejszych przyczyn tarć pomiędzy dwoma państwami była skarga Polski, że Francja sprzedała jej lichy materjał wojenny. Ostatnią przyczyną niechęci jest Pakt Wschodni.

Mimo to jednak, inteligentniejsi polacy zdają sobie dobrze sprawę z niebezpiecznego położenia swego kraju, leżącego pomiędzy Niemcami i Rosją. Wiedzą bardzo dobrze, że, nawet nie będąc prochownicą Europy, Polska jest otoczona dostateczną ilością materjału wybuchowego, żeby obawiać się najmniejszej choćby iskierki.

Stąd też wzrastające w masach zainteresowanie polską dyplomacją, a przedewszystkiem wyraźne popieranie starodawnego systemu polityki utrzymywania pokoju przy gotowości do wojny.

Na pewnej wystawie w Warszawie, przedstawiono polską gospodarkę, opartą na czterech filarach — stałości pieniądza, niezależnej polityce zagranicznej, stałym pokoju i *wielkiej armji*. Pieczę nad temi filarami sprawuje marszałek Piłsudski, wódz polskiego wojska i rzeczywisty władca kraju.

Jest on tajemniczym władcą z powieści fantastycznej. Rzadko go się widuje, rzadko słyszy.

„W ciągu pięciu lat widziałem marszałka Piłsudskiego dwa razy, powiedział mi pewien akredytowany w Warszawie dyplomata, i przez ten czas wygłosił napewno nie więcej niż trzy przemówienia".

W ten sposób polska dyktatura wojskowa jest dobrze zamaskowana, ale jest tem niemniej bardzo realna i bardzo aktywna.

Wszyscy tu starają się uparcie wierzyć w pakt o nieagresji z Niemcami.

— Przed paktem — mówił mi pewien przemysłowiec z Górnego Śląska — polacy i niemcy ledwie ze sobą rozmawiali. Teraz klepią się kordjalnie po plecach.

— Ale pana współobywatele zastanawiają się ciągle — odrzekłem — czy te przyjacielskie świadczenia nie przerodzą się w razy.

— Jeżeli tak się stanie — powiedział poważnie — Polska będzie gotowa.

Niedawne demonstracje w Warszawie i gdzieindziej z okazji wystąpienia Polski w Lidze Narodów były bezwątpienia zręcznie wyreżyserowane, dość jednak jasno świadczą o nastro-

(Dokończenie na str. 8)

WIR ŚWIATA

Polska w grze dyplomatycznej

Polska czuje się na siłach prowadzić niezależną politykę

Niema narazie potwierdzenia tezy, jakoby jednym z motywów, dla których Polska nie chciała wyrazić swej zgody na Pakt Wschodni, miała być okoliczność, że Polska nie ma zamiaru zagwarantować granic Czechosłowacji przed pretensjami rewizjonizmu węgierskiego. W polskich kołach miarodajnych przeważa mniemanie, że taki motyw, nawet gdyby rzeczywiście istniał, nie byłby wysunięty, jako powód odrzucenia paktu.

Polska ma dosyć innych słusznych powodów, aby nie zgodzić się na Pakt Wschodni i nie potrzebuje wcale wciągać drażliwej sprawy granic czesko-węgierskich do arsenału swoich argumentów. Polska ustosunkowała się od pierwszej chwili negatywnie do tego projektu. Polacy uważają, że traktaty nieagresji z Rosją i z Niemcami stanowią dostateczną gwarancję przed atakami z jednej i z drugiej strony, i dlatego nie chcą oni podpisać zobowiązań, które mogłyby ich wciągnąć w konflikty europejskie.

Zresztą, gdyby nawet te zarzuty nie istniały, okoliczność, że Niemcy odrzuciły ten pakt, pozbawia go w oczach Polski wszelkiej wartości.

Prawdą jest, że Polska jest zadowolona ze swojej polityki zagranicznej, i że czuje się z każdym dniem coraz bardziej zdolną do prowadzenia własnej polityki niezależnej od swoich dawnych sprzymierzeńców.

Sympatje Polski dla Węgier, otoczonych przez państwa Małej Ententy, są tej niezależności symptomem, ale symptomem tylko.

„The Morning Post", Londyn.

Papen w Budapeszcie tuż przed podróżą Goemboesa do Warszawy

W kołach politycznych Budapesztu zwraca uwagę okoliczność, że oficjalnie podawana za ściśle prywatną, podróż v. Papena do Budapesztu przypada tuż przed wyjazdem premjera Goemboesa do Warszawy.

„Prager Tageblatt", Praga.

Gra polityczna za kulisami rozwija się z wielkiem napięciem. Wizyta wicekanclerza Starhemberga w Budapeszcie i obecna wizyta Papena są najwyraźniejszemi objawami tej rozgrywki. Zasadniczo chodzi o to, czy Węgry będą trwały przy swojem nastawieniu prowłoskiem, czy też zdecydują się na nawiązanie ściślejszych stosunków z Berlinem. To centralne zagadnienie węgierskiej polityki zagranicznej ma być wyjaśnione podczas pobytu premjera Goemboesa w Warszawie i w rozmowach jego z Mussolinim, które nastąpią zaraz po wizycie warszawskiej.

Możliwe jest, że Papen występuje tym razem, jako rzecznik Polski i niemiecko-polsko-węgierskiego trójprzymierza, do którego potem przyłączyłaby się i Jugosławja.

„Neues Wiener Journal", Wiedeń.

Na co liczą zwolennicy sojuszu z Niemcami

Zachowanie się Polski w Genewie nie powinno było być dla nikogo niespodzianką. Oddawna wiadomo już, dokładnie, od października 1932 roku, od chwili gdy p. Beck zajął w ministerstwie spraw zagranicznych miejsce p. Zaleskiego, wiernego przyjaciela Francji, że oficjalne czynniki polskie czyniły starania w kierunku zbliżenia się do Niemiec. A kierownicze sfery kartelu lewicowego we Francji przez swą nieprzychylną politykę względem Polski dodawały jej jeszcze bodźca.

W Polsce, w kołach rządowych znajduje się liczna grupa zwolenników niebezpiecznej ideologji. Niektórzy z nich, ci mianowicie, którzy są niezadowoleni z Traktatu Wersalskiego, marzą o większej Polsce, czekają na taki zbieg okoliczności, któryby im pozwolił zdobyć Litwę i Ukrainę od Kłajpedy aż po Odessę. Przypuszczają naprzykład, że jeśli Rosja będzie miała kłopoty z Japonją, przymierze z Niemcami da im możność zrealizowania tego projektu.

Jest to polityka złudna i krótkowzroczna. Jak Polska choć przez chwilę może sądzić, że w Niemczech znajdzie pewnego sprzymierzeńca, i czy nie rozumie, że wszelka polityka rewizjonistyczna jest skierowana przeciw niej i podważa jej byt.

Myliłby się ten, ktoby sądził, że naród polski oddala się od Francji i uczestniczy w zamiarach tych jego kierowników, którzy są związani z Niemcami swą przeszłością i kulturą. Jeśli p. Barthou był chłodno przyjęty podczas swego pobytu w Polsce przez czynniki decydujące, odczuł on sympatję, a nawet uczucie przyjaźni dla nas u narodu polskiego. To jest wielka obietnica na przyszłość.

„Aux Ecoutes", Paryż.

Franz v. Papen



Niemiecki wicekanclerz i „wielolicy Janus" Trzeciej Rzeszy.

Katolik i konserwatysta, w wysokim stopniu posiada sztukę intrygi.

Wypędzono go podczas wojny ze Stanów Zjednoczonych za udział w aktach sabotażu.

Później, sabotażował gen. Schleichera, Kanclerza przed Hitlerem.

Ma żonę francuskę. Podejrzewają go wszyscy o sympatje francuskie — wszyscy, prócz francuzów, którzy twierdzą, że kiedy spogląda życzliwie w stronę Francji, myśli o swoich tam interesach osobistych.

Jest spokojny, z manierami arystokraty. Należy do osławionego Herren-Clubu.

„The Sunday Referee", Londyn.

Pakt sam jest wątpliwej wartości

Austrja jest zadowolona, Włochy również. Liga Narodów jest zadowolona, że przykład Sowietów tak szybko podziałał na Amerykę ekwatorjalną... Jednem słowem, zobaczymy, co przyszłość pokaże.

Jednak „duch Genewy" otrzymał ciężki cios: memorandum polskie w sprawie Paktu Wschodniego nie jest już tajemnicą, mimo że jest ściśle poufne. Dwa argumenty polskie nie są pozbawione zdrowego rozsądku.

Zaczniemy od drugiego: Polska oświadcza, że woli pakty dwustronne, niż pakty ogólne. Zobowiązania dwustronne, szczególnie, jeżeli jedną ze stron są Niemcy, nie są zbyt uspakajające, w każdym razie jest to powrót do metod dyplomacji przedwojennej. Piętnaście lat historji europejskiej wykazało dostatecznie, jak bezwartościowe są traktaty, deklaracje, błogosławieństwa i klątwy, pod które podpisy tak obficie napływają tylko dlatego, że nie obowiązują nikogo do niczego.

Pierwszy argument Polski jest niemniej słuszny: Jeżeli Niemcy się uchylają, Polska również nie przystępuje. Jest oczywiste, że pakt ten miałby rację bytu tylko wtedy, jeżeliby i Niemcy do niego przystąpiły. Wobec tego, że to nie nastąpiło, pakt upada, a Polska tylko stwierdza stan rzeczywisty.

Mniej jasne i trudniejsze do obronienia w nocie polskiej są punkty, dotyczące Litwy i Czechosłowacji.

„Le Jour", Paryż.

Sowiety w Lidze Narodów

Likwidacja konferencji rozbrojeniowej?

Pierwszy występ Litwinowa w Lidze

Propozycja Litwinowa w sprawie ponownego otwarcia konferencji rozbrojeniowej wzbudziła w miarodajnych kołach genewskich wielkie zainteresowanie. Przeważa zdanie, że delegacja rosyjska pragnie przez to doprowadzić do zakończenia konferencji rozbrojeniowej i do podjęcia sprawy rozbrojenia przez samą Radę Ligi Narodów. Plan ten miał być opracowany w porozumieniu z delegacją francuską, z którą Litwinow długo konferował. Przypomina się w Genewie, że już nieraz była mowa o tem, by przejąć sprawę rozbrojenia z rąk konferencji, która ugrzęzła na mieliźnie, i oddać ją w ręce mocarstw, zainteresowanych w zagadnieniu rozbrojenia.

„Neues Wiener Journal", Wiedeń.

Litwinow szachuje Genewę

Projekt Litwinowa podziałał w łatwo zapalnej atmosferze genewskiej, jak bomba. Obrońcy konferencji rozbrojeniowej przewidują już, że idei rozbrojeniowej zadano przez to cios ostateczny. Tak źle może jeszcze nie jest, w każdym razie Genewa jest zaszachowana. Wielkie mocarstwa nie są tą propozycją Litwinowa niezadowolone, opozycji można się spodziewać tylko ze strony mniejszych państw. Francuzi narazie z podejrzaną gorliwością wskazują na to, że list Litwinowa jest ujęty w formę bardzo ostrożną i domaga się wyłącznie, by rada zażądała od prezydjum konferencji rozbrojeniowej sprawozdania, a i to musi być poddane pod głosowanie rady.

W każdym razie państwa, które będą głosowały za projektem Litwinowa, wypowiedzą się również za zwolnieniem konferencji rozbrojeniowej z jej obowiązków. Albowiem wtedy Litwinow, jako stały członek rady, wykorzysta sposobność, jaka mu się nadarzy po przekazaniu sprawy rozbrojeniowej Radzie Ligi, by po tejże konferencji bankructwie, podsunąć myśl zastąpienia jej innym mechanizmem ochrony pokoju, naprzykład faworyzowanemi przez niego paktami bezpieczeństwa.

„Frankfurter Zeitung", Frankfurt.

Sowiety i rozbrojenie

Pod przewodnictwem przewodniczącego Zgromadzenie Ligi tylko przyjęło do wiadomości propozycję Litwinowa. Dodać należy, że już oddawna była rozpatrywana myśl stałej organizacji dla obrony pokoju w ramach Rady Ligi, organizacji tak zbudowanej, by i Ameryka mogła w niej współpracować. Przeważa przekonanie, że to mogłoby pchnąć sprawę rozbrojenia na nowe tory, a równocześnie zapewnić ściślejszą współpracę Ameryki, co było znacznie utrudnione, kiedy ograniczało się tylko do dorywczych posiedzeń konferencji rozbrojeniowej. Z drugiej strony nikt nie ma najmniejszych złudzeń co do motywów, które skłoniły Litwinowa do tego wystąpienia.

„The Times", Londyn.

Apel francuski pod adresem Polski

Jeżeli Polska chce dowieść, że jest wielkiem mocarstwem, może tego dokazać — nie ciosami naprawo i nalewo, ani przy pomocy niepokojących manewrów, ani też przez wyzwania — Polska może dzięki liczbie stale wzrastającej swoich mieszkańców, dzięki swojemu położeniu geograficznemu, dzięki moralnym walorom swojej ludności, i powadze tego, który jej losami w chwili obecnej kieruje, odegrać wielką rolę, szlachetną rolę w świecie dzisiejszym. To jest możliwe, jeżeli będzie prowadziła politykę zrównoważoną, roztropną i opartą na współpracy ze stałymi i wiecznymi przyjaciółmi. Czy te słowa nie znajdą żadnego echa? Jeżeli kości już są rzucone, tem gorzej, tem gorzej dla niej!

„Le Petit Parisien", Paryż.

Zmiana granicy Czechosłowacji?

Polska uważa, że istnieją w polityce europejskiej: problem wschodni, w którym zainteresowane są Polska, Rosja, Niemcy i kraje Bałtyckie, oraz problem południowo-wschodni: dotyczący strefy naddunajskiej. Problem naddunajski jest zdaniem rządu polskiego o wiele bardziej skomplikowany, niż problem wschodni i dlatego Polska radzi nie obciążać problemu wschodniego troskami o strefę naddunajską. To jednak nastąpiłoby, gdyby i Czechosłowacja do paktu przystąpiła.

Interesy Czechosłowacji są skierowane ku południu, ku Austrji, Węgrom, Rumunji i Jugosławji, gdyby zaś weszła do paktu wschodniego, uczestnicy jego byliby wciągnięci w sferę zagadnień naddunajskich, co ich niebardzo nęci. Dlatego byłoby celowe, konkluduje nota polska, wytłumaczyć Czechosłowacji, by do Paktu nie przystępowała.

Nota polska utrzymana zresztą w dyplomatycznie poprawnym tonie, wylicza niezbyt przekonywujące prawdy, dla których Czechosłowacja nie miałaby przystąpić do Paktu. Trzeba gdzieindziej szukać istotnych motywów tych zastrzeżeń. Pakt Wschodni miał na wzór zachodniego paktu Locarna być zbiorową gwarancją granic między jego sygnatarjuszami. Rosja, Czechosłowacja, państwa bałtyckie wyraziły swoją zgodę na obecny stan granic.

Niemcy odmówiły, Polska wyraziła swoją zgodę, jeżeli chodzi o jej granice z Rosją i z Niemcami, albowiem tutaj Polska uzyskała już maximum. Granice między Polską a Czechosłowacją tak jednak były przeprowadzone, że Polska nie jest niemi zadowolona. Można zatem wnioskować, że w Warszawie nie mają ochoty uznać granic Czechosłowacji i dlatego chcianoby ją wyłączyć z Paktu Wschodniego. Dla Polski powstałaby idealna sytuacja, gdyby miała zagwarantowane granice z Rosją, z Niemcami i z Litwą, a wolne ręce w stosunku do Czechosłowacji.

„Prager Tageblatt", Praga.

KOŚCIÓŁ ANGLIKAŃSKI RADYKALIZUJE SIĘ

Arcybiskupi Canterbury i Yorku skłaniają się ku lewicy

Arcybiskup Canterbury jest prymasem panującego kościoła Anglji i wielkim dostojnikiem stanu. W hierarchji dostojników zajmuje miejsce bezpośrednio za rodziną królewską i ambasadorami. Podczas koronacyj i innych oficjalnych uroczystości jest osobistością ważną i malowniczą. Mimo to, z reguły bywa odsuwany od kontaktu z ludźmi. Można nieledwie powiedzieć, że wielu arcybiskupów byłoby lepiej znanych w kraju, gdyby nie byli arcybiskupami.

Obecnie Anglja posiada dwóch arcybiskupów nowego zupełnie typu. Ten wysoki urząd duchowny stał się obecnie dla człowieka z tłumu bliższy i bardziej realny. Oznaczać to może wielką i trwałą już przypuszczalnie zmianę w nastawieniu i wpływach kościoła narodowego.

Tradycja kościoła panującego była konserwatywna. Kler zwalczał kandydaturę Peel'a i Gladstone'a na członków Uniwersytetu w Oxfordzie. Czyta się nieraz o polujących z zamiłowaniem plebanach, których jedynym obowiązkiem było popieranie rządu. „Interes kościoła, interes Torysów, gospodarstwo rolne i stare wino" doniedawna były uważane za najważniejsze elementy życia społecznego w Anglji. Niezupełnie to zresztą przeminęło. Tu i ówdzie znajdzie się jeszcze proboszcz wiejski, niezdolny do prowadzenia rozmowy na inny temat, niż psy i cena wełny i owsa, temat, który go interesuje przedewszystkiem, jako dziedzica przywiązanego do gleby czy gospodarstwa rolnego.

Kościół jednak w całości swojej musiał zająć postawę wobec nowej Anglji, która przestała być krajem rolniczym. Wielkie miejskie skupiska ludzkie rozciągają się tam, gdzie doniedawna były wsie, i od pół wieku w łonie kościoła rozwija się ruch, który nazwano Chrześcijańskim Socjalizmem, a który obecnie znany jest lepiej pod nazwą ruchu „Pracy i Życia".

Jeden z największych uczonych kościoła u schyłku ery wiktorjańskiej, biskup Westcott of Durham, pozwolił w swoim średniowiecznym pałacu prowadzić rokowania z robotnikami podczas zaostrzonego strajku węglowego. Biskup Gore był jednym z tych, którzy przed wojną głosili, że zarobki, a nie zyski powinny być pierwszą troską przemysłu. A po wojnie światowej, naród z osłupieniem stwierdził, że setki duchownych popiera otwarcie i Labour Party. Podczas tej wojny krzyżowej o polepszenie losu ludzi, dwaj arcybiskupi Anglji odegrali rolę przywódców.

Co powszechnie zadziwia, to fakt, że duchowni o tak silnej indywidualności mogli się wznieść tak wysoko w tej najtrudniejszej z hierarchij.

Arcybiskupi i starsi biskupi są parami królestwa. W Izbie Lordów zasiadają zwartą masą i sprawują „doczesną władzę" średniowiecznych prałatów.

Zdarza się czasem, że ludzie krzywią się na „bogactwa" biskupów. Ale wielu z nich ma poważne kłopoty spowodu wydatków reprezentacyjnych i formalności, które muszą pokrywać z mocno przez podatek dochodowy okrojonych uposażeń. Podobnie jak w średniowieczu, narzuca się im mieszkanie w pałacach i zwraca do nich per „Mylordzie Biskupie", podczas gdy do arcybiskupa, piastującego godność wyższą od książęcej, mówi się „Wasza Wysokość". Mimo to wszyscy oni pragną żyć skromnie.

Dawna tradycja jednak bierze górę. Dr. Lang, prymas Anglji, nie podpisuje się Cosmo Gordon Lang, ale „Cosmo Cantuar": Cosmo z Canterbury — skrótem używanym przez Sasów. Arcybiskup Yorku mniej jest znany jako William Temple, a lepiej jako „W. Ebor" — ponieważ Eboracum jest łacińską nazwą Yorku sprzed osiemnastu wieków.

KOŚCIÓŁ — INSTYTUCJA SPOŁECZNA

Nie należy się zatem dziwić, że w łonie kościoła panują rozmaite poglądy na to, coby w polityce nazywało się „zwrotem na lewo". To już nie walka pomiędzy zwolennikami bardziej skomplikowanego obrządku i nie zgłębianie kwestji znaczenia rytuału. Co jest misją kościoła? Do jakiego stopnia należy zastąpić kult— wszystko jedno jak interpretowany — przez zajęcie się socjalnemi, ekonomicznemi i międzynarodowemi zagadnieniami?

Kościół panujący nie jest kościołem „wolnym". Jest urzędem państwowym. Biskupi mianowani są na wniosek premjera. Państwo jest uprawnione do nadawania kościołowi praw, nawet w kwestjach dotyczących doktryny; w ostatnich latach Izba Gmin sprzeciwiła się nawet reformie modlitewnika. Położenie nie jest zatem tak proste, jakby się to mogło napozór wydawać.

Z drugiej strony, udział kleru w życiu jest niezaprzeczony. Cele Labour Party, która zasady chrześcijaństwa stara się przystosowywać do życia bardziej niż kościół, bezwątpienia miały wpływ na enuncjacje, wypowiadane z łona samego kościoła — w których stylu i w sposobie redagowania jasno przejawiają się indywidualności dwóch arcybiskupów Anglji.

KOŚCIÓŁ HITLEROWSKI W NIEMCZECH.

Biskup-hitlerowiec Müller, kroczy na czele po chodu na otwarcie synodu narodowego w Wittenbergu.

Dr. Lang, arcybiskup Canterbury jest synem szkockiego księdza. Napisał powieść. Przez jakiś czas miał zamiar w Oxfordzie poświęcić się karjerze pisarskiej, rezultatem czego „The Young Clanroy". Wyrzekł się wszakże tego zamiaru i spędził trzy lata nad studjami prawa. Skolei porzucił prawo i przybrał szaty duchowne, ale i obecnie olbrzymia jego erudycja prawnicza czyni go niezastąpionym przy jakiejkolwiek debacie nad reformą prawa rozwodowego w Izbie Lordów.

Od czasów młodości Cosmo Lang znany jest z talentu krasomówczego, ujmującego sposobu bycia i z głosu, którego mógłby mu każdy mówca pozazdrościć.

W wieku lat 44 — jak twierdzą niektórzy, na żądanie Edwarda VII — został przez Asquita mianowany arcybiskupem Yorku.

Tutaj czekały nań problemy społeczne w szerokim zakresie; w czasie częstszych, niż przedtem wizyt pary królewskiej w północnych okręgach przemysłowych, można było poznać wpływ Langa. Sześć lat temu Dr. Langa przeniesiono na urząd arcybiskupa Canterbury.

Z trochę ponurego gabinetu w pałacu nad Tamizą, Dr. Lang wielokrotnie naciskał na rząd w sprawach zajęcia bardziej zdecydowanego stanowiska wobec rozbrojenia, a niedawno temu przewodniczył delegacji na Downing Street dla przedłożenia premjerowi żądań rozbrojeniowych. Domagał się wielokrotnie bardziej energicznego zajęcia się sprawą przedmieść Londynu i nie przestaje popierać interesów bezrobotnych.

ARCYBISKUP Z LABOUR PARTY

Dr. Temple, syn jednego z poprzednich arcybiskupów Canterbury, był biskupem Manchestru, zanim objął stanowisko, zajmowane przez Dr. Langa. Należy on do Labour Party w Izbie Lordów, i lepiej, niż w złoconej sali, czuje się w Robotniczem Stowarzyszeniu Wychowawczem czy też w organizacji dla reform społecznych, znanej pod nazwą „Copec".

Zrobił wiele dla zwalczania idei, jakoby chrześcijaństwo było zainteresowane tylko w zbawieniu dusz ludzkich. Jest on człowiekiem o wyjątkowej erudycji i darze jasnego myślenia.

Jako arcybiskup Yorku Dr. Temple jest jeszcze bardziej radykalny niż Dr. Lang, co jest poniekąd zrozumiałe, ponieważ jego siedziba leży w uprzemysłowionym okręgu północnym, gdzie niedostatek jest większy, niż na rolniczem południu. Z zamku swego w Bishopthorpe niedawno napisał do „Times'ów" list, w którym domagał się, aby nadwyżka w budżecie obrócona była na zapomogi dla bezrobotnych a nie na zmniejszenie podatków; propozycja ta spotkała się z ostrą repliką ministra Skarbu. „Chrześcijańska miłość bliźniego", pisał, „powinna nas skłaniać do zajęcia się losem tych przedewszystkiem, którzy są w potrzebie".

Obie te przodujące, a tak różne od siebie osobistości kościoła anglikańskiego mogą świadczyć o tem, że kościół zwraca się ku lewicy. Wielu przywódców kościoła poddaje się prądom dwudziestego wieku.

„The New York Times Magazin", *Nowy York.*

NIEMIEC KTÓRY NIE BOI SIĘ HITLERA

KARDYNAŁ FAULHABER — ARCYBISKUP MONACHIJSKI

Kardynał Michael von Faulhaber, jest dziś jedynym człowiekiem w swym kraju, który nie obawia się mówić z ambony tego, co myśli. Żadna siła ludzka na świecie nie zmusiłaby go do milczenia. Ten dostojnik Kościoła, świadom swej władzy, jest absolutnie niezależny i postępuje zawsze tak, jak mu nakazuje sumienie.

Karjera tego duchownego rozpoczęła się od surowej edukacji w Watykanie. Urodzony 65 lat temu, jako potomek rodziny młynarzy i piekarzy, w młodym wieku mianowany zostaje profesorem teologji na Uniwersytecie w Strasburgu. Na jego wykłady schodziły się tłumy słuchaczy; nawet ludzie nie mający nic wspólnego z teologją, nie mogli odmówić sobie przyjemności słuchania go, podziwiania jego ostro zarysowanego profilu, jego oczu, wpatrzonych w dal. Młody ksiądz wysławiał się w sposób pełen kwiecistych metafor, głębi filozoficznej i niezwykłej siły krasomówczej.

Kościół szybko docenił wielkie zalety tego człowieka. Został on mianowany biskupem, mając zaledwie 42 lata. W czasie wojny był Głównym Kapelanem Armji Niemieckiej. W roku 1917 Ojciec Święty powierza mu Arcybiskupstwo w Monachjum, najpoważniejszym ośrodku katolickim w Niemczech. W roku 1921 Watykan ofiaruje mu purpurę kardynalską.

Od pierwszej chwili, gdy Hitler rozpoczął swą agitację, otwiera się między kardynałem i nim niezgłębiona przepaść. Faulhaber potępił w swych kazaniach morderstwa i okrucieństwa narodowych socjalistów, którzy stali się jego zdecydowanymi wrogami. Wtedy to zjawił się Rosenberg, jako apostoł nowej wiary, głoszący doktryny filozofji, opartej na ideach narodowego socjalizmu. Faulhaber w odpowiedzi na to wystąpienie wygłosił wzniosłe kazanie, w którem zapowiedział nadejście pogaństwa.

Ponieważ słowa jego nie wystarczały już, aby zmienić bieg wypadków, wpłynął na rząd Bawarski, aby zaprotestowano przeciwko posunięciom rządu w Berlinie. Było już jednak za późno. Hitler objął władzę nad krajem. Polityczni przedstawiciele katolickich Niemiec skapitulowali.

Ale Faulhaber nie umilkł. Jego kazania wstrząsnęły tymi, którzy poddali się losowi. Księża katoliccy, którzy byli przygotowani na zmianę ich kościołów na świątynie narodowo-socjalistyczne, świadomi są obecnie swych obowiązków wobec wiary. Głos wielkiego kaznodziei z Monachjum jest głosem „innych" Niemiec.

Nie zważając na własne bezpieczeństwo, namiętnie zwalcza on odstępców od Starego Testamentu, nie zwraca żadnej uwagi na tych, którzy rzucają kamieniami w jego okna, lub czyhają na jego życie: pragnie on walczyć aż do zwycięstwa prawdy.

„Sunday Referee" Londyn.

Żydowski Nowy Rok w kościele protestanckim

W kościele protestanckim Grace Church, przy ulicy Broadway, zgromadziło się około 1.200 osób najróżniejszych wyznań i obrządków dla uroczystego uczczenia święta Rosz Haszana, żydowskiego Nowego Roku. Już przed początkiem ceremonji, przed godziną ósmą wieczorem, wszystkie miejsca były zajęte przez ludzi, chcących usłyszeć mowy chrześcijańskich i żydowskich duchownych z okazji obchodu żydowskiego święta w jednym z protestanckich kościołów Nowego Jorku.

Zebraniu, pod auspicjami Wszechświatowego Związku Wiary, przewodniczył wiel. pastor Teodor Ferris. Przedstawił się jako reprezentant dziekana Grace Church, wiel. Dr. W. R. Bowie i w jego imieniu powitał zgromadzonych, określając Dr. Bowie jako człowieka wyjątkowo świadomego „zasadniczej łączności wszystkich ludzi, bez względu na rasę, wyznanie czy kolor skóry". Skolei zabrali głos inni mówcy, przyczem Rabin Stephen Wise z Synagogi Reformowanej i rabin Goldstein z Kongregacji B'nei Jeszurun odpowiadali imieniem żydów.

Mówcy chrześcijańscy wyrazili swoje współczucie dla sytuacji żydów w Niemczech i podkreślili przychylne ustosunkowanie się do sprawy żydowskiej wszystkich humanitarnych chrześcijan całego świata.

Dr. Goldstein w odpowiedzi wyraził swą wdzięczność, mówiąc „cieszymy się, że okazujecie nam swą przyjaźń wy wszyscy katolicy, protestanci, budyści, mahometanie i wyznawcy innych religij, którzy zebraliście się tutaj, aby nam życzyć szczęśliwego roku!"

Dr. Wise w imieniu wszystkich wyznań odwoływał się do poczucia sprawiedliwości.

„The New York World Telegram", Nowy Jork.

Niemcy przygotowują wojnę bakterjologiczną

Generał XXX autor słynnego dzieła „Od Weimaru do Chaosu", kończy obecnie swą nową książkę p.t. „Nowoczesna Wojna". Niniejszy artykuł napisany jest przez Dr. Klotza według danych, dostarczonych przez Generała XXX, za których wiarogodność przyjmuje on osobistą odpowiedzialność.

Nowe Niemcy rozpoczęły już wojnę bakterjologiczną przeciwko swym sąsiadom. Fakt, że ofiary jej w Paryżu, Londynie czy też w Warszawie żyją nadal, jest kwestją przypadku, przyczem ten stan rzeczy nie utrzyma się długo.

W okresie od 1914—1918 roku wojna bakterjologiczna była wypróbowana na różnych frontach, a jej rezultaty były mniej lub więcej „zadawalające". Zapoczątkował ją attaché militaire pewnego drugorzędnego państwa w Waszyngtonie; nazwisko jego nie jest obce dzisiejszym politykom europejskim. Zrobił on wszystko, co tylko leżało w jego mocy, aby zatruć paszę dla koni, przeznaczonych dla armji francuskiej i angielskiej, walczących na kontynencie. Ale usiłowania jego spełzły na niczem.

27 sierpnia 1916 roku, niemieckie władze wojskowe wysłały do Bukaresztu, za pośrednictwem Min. Spraw Zagranicznych i posługując się walizą dyplomatyczną, całą skrzynię bakteryj z dokładnym opisem ich zastosowania. Przesyłka ta miała spowodować wśród bydła rumuńskiego epidemję cholery, nosacizny i t.p. Plan wykryto, a skrzynia i jej zawartość wpadły w ręce policji.

Wreszcie przy końcu wojny nastąpiła ostatnia próba; pomysł był genjalny i wykonano go z całą dokładnością. Jego skutki okazałyby się nieobliczalne, gdyby nie zawieszenie broni, które zapobiegło dalszemu realizowaniu zbrodniczego planu.

WYTRUCIE BYDŁA SANITARNEGO

Szatański pomysł polegał na wytruciu bydła, przeznaczonego dla francuskich punktów sanitarnych, przy pomocy zarazków nosacizny. Rezultat okazał się katostrofalny, ale nietylko dla wrogów. W 24 dni po stwierdzeniu epidemji po stronie francuskiej, choroba opanowała front niemiecki i zdziesiątkowała, mimo wszelkich środków zapobiegawczych, prawie całe bydło niemców. Jest to, a raczej *była to* wielka wada wojny bakterjologicznej.

Od roku 1914 do 1918, wojna bakterjologiczna ograniczała się do atakowania bydła i koni nieprzyjaciela. Niektórzy utrzymują, że ludność nieprzyjacielska również była atakowana przy pomocy bakteryj — jest to jednak nieścisłe, chociażby ze względu na ówczesny, niedostateczny poziom wiedzy bakterjologicznej.

FANATYCY MIKROBÓW

Na podstawie wypadków, które rozegrały się w czasie od 1914 — 1918, możemy stwierdzić, że większość wyższych oficerów niemieckich była zdecydowane przeciwna wojnie bakterjologicznej. To nie znaczy, że nie robiono w tym zakresie żadnych prób — ale były to wypadki wyjątkowe.

W tym okresie autor, dzięki zajmowanemu stanowisku, miał możność dokładnego zapoznania się z kulisami Wielkiej Wojny; wśród setek oficerów było wówczas tylko 4-ch „fanatyków mikrobów". Byli to: gen. ks. von Schulenburg, (szef sztabu general. armji Kronprinza), gen. Litzman, gen. Hell (szef sztabu generała Mackensena) oraz kontr-admirał von Levetzow (szef sztabu marynarki wojennej). Na szczęście zdanie ich spotkało się z ostrą opozycją innych dygnitarzy wojskowych.

Wszystko to zdarzyło się przed wielu laty. Od tego czasu wojskowa wiedza niemiecka rozwinęła gorączkową działalność. Rozpoczęto doświadczenia; stwierdzono, że zarówno człowiek, jak i zwierzę mogą być zabezpieczeni przed działaniem każdej bakterji przez zastrzyknięcie odpowiedniej szczepionki. Ale równocześnie praktyka wykazała, że osobnik, któremu zaszczepiono 2 lub 3 choroby jest zabezpieczony tylko przed jedną z nich. Dlatego też, podczas przyszłej wojny rozsiane będą najrozmaitsze bakterje, celem uniemożliwienia nieprzyjacielowi zastosowania środków ochronnych.

POD ZNAKIEM BAKTERJOLOGJI

10 stycznia 1933 r. t. j. na 10 dni przed historycznym zamachem stanu, Adolf Hitler wystosował do Prezydenta Rzeszy memorjał w sprawie wojny bakterjologicznej. Zakomunikował on Hindenburgowi, że techniczny wydział jego partji przedstawił mu raport, dotyczący wojny bakterjologicznej, który należy uważać za niezmiernie interesujący i uzasadniony.

Oto najważniejsze urywki z tego memorjału:

Po triumfalnem zwycięstwie nad wrogiem wewnątrz kraju, Niemcy dla zdobycia niezależności nazewnątrz, muszą posłużyć się „nową bronią" (bakterjologją)..

A potem...

W chwili obecnej możemy stwierdzić, że techniczna strona wojny bakterjologicznej stoi na wysokości zadania. Niemcy będą mogły odnieść wielkie i błyskawiczne zwycięstwo na dwuch frontach (Francja i Polska). Uważam za konieczne całkowite wyzyskanie możliwości, jakie daje nam ta nowa broń.

19 marca 1933 r. Henryk Himmler, komendant policji w Monachjum oraz szef oddziałów SS (sztafety szturmowe) komunikuje Sztabowi Generalnemu Rzeszy o skonstruowaniu przez siebie z pomocą pewnego znajomego wynalazcy aparatu zegarowego, niezwykle prostego w budowie, który dzięki specjalnemu systemowi cylindrów ze zgęszczonem powietrzem wyrzuca z olbrzymią siłą miljardy zamkniętych w nim bakteryj. Poruszając sprawę zastosowania swego wynalazku, pisze Himmler m. in.:

Byłoby wskazane, aby omawiane aparaty, których ilość należy przewidzieć mniej więcej w stosunku jednego aparatu na 500.000—800.000 mieszkańców, były już obecnie zainstalowane w większości stolic europejskich. Wrazie potrzeby, aparaty te zostałyby puszczone w ruch i w ciągu 30 minut, najdalej jednej godziny, bakterje zatrułyby powietrze tego czy innego miasta, wskazanego uprzednio przez niemiecki Sztab Generalny.

Ludzie, którzy mieliby za zadanie nastawić oraz uruchomić aparaty, dysponowaliby dostateczną ilością czasu, aby znaleźć się poza obrębem niebezpieczeństwa.

KARTOTEKI SZTABU GENERALNEGO

Himmler pozostawia wolną rękę władzom wojskowym, kiedy mianowicie należy stosować jego wynalazek: czy przed wypowiedzeniem wojny,czy też w czasie pokoju. Podkreśla on jednak, że należałoby zmniejszyć do minimum odporność nieprzyjaciela, przyczem zaznacza, że mówił o swym aparacie Hitlerowi, który wyraził mu swą „głęboką wdzięczność". Na zakończenie Himmler zwraca uwagę, że ze względu na naprężone stosunki z zagranicą, należałoby przystąpić niezwłocznie do fabrykacji jego aparatów, celem umieszczenia ich w „niektórych miastach zagranicznych"

Czy są to fantastyczne plany jakiegoś warjata? Z pewnością nie! Wiemy z całą dokładnością, że projekty dotyczące wojny bakterjologicznej przechowywane są w kartotekach niemieckiego Sztabu Generalnego. Co gorsza, możliwości zatrucia koni i innych zwierząt domowych są obecnie na drugim planie. Z chwilą wybuchu wojny Niemcy zdecydowali stosować w jaknajszerszym zakresie najrozmaitsze bakterje.

NIEBEZPIECZEŃSTWO ISTNIEJE, ALE...

Powstaje pytanie, na które ogół ma prawo żądać odpowiedzi: jakie byłoby działanie ataku bakterjologicznego, biorąc pod uwagę nowoczesne warunki oraz obecny rozwój nauki? Naogół niebezpieczeństwo jest mocno przesadzone. Użycie tej „nowej broni" jest bardzo trudne. Nie wystarczy bowiem zatruć powietrze bakterjami, lub też rzucać pociski, siejące zarazę — bakterje muszą znaleźć odpowiedni grunt do rozwoju. Półtora roku temu autor był świadkiem eksperymentów, dokonywanych na zwierzętach w Instytucie Kocha w Berlinie. Zwierzęta te zbombardowano niejako bakterjami pewnej określonej choroby. Po pewnym czasie epidemja osiągnęła swój punkt kulminacyjny, powodując śmierć prawie ⅓ zwierząt. Jakkolwiek bombardowanie nie zmniejszyło się, natężenie choroby osłabło i wkońcu epidemja wygasła zupełnie. Fakt ten dowodzi, że istnieją pewne granice, których umysł ludzki, chwilowo przynajmniej, nie może przezwyciężyć.

W konkluzji możemy śmiało stwierdzić, że w chwili obecnej możliwości wojny bakterjologicznej są dość ograniczone — ale przeszkody te lada dzień mogą być pokonane.

Niemcy Adolfa Hitlera zdecydowały popierać za wszelką cenę udoskonalanie i jaknajszersze stosowanie „nowej broni" — bakterjologji.

„Les Annales", Paryż.

Każdy Hitler ma swego Samuela.

P. Leumas jest żydem Samuelem

W ostatnich dniach „Intransigeant" opublikował dwa wywiady, które były dostarczone przez Rudolfa Hessa, zastępcę Führera i przez Hitlera samego, rzekomemu dziennikarzowi Lucjanowi Lemas. Do tych wywiadów, sławiących pokojowość Hitlera, były dołączone fotografje z dedykacjami: „Panu Lucjanowi Leumas".

Otóż ten pan Lucjan Leumas nazywa się właściwie Lucjan Samuel. Jest to żyd alzacki, który swoje nazwisko zmienił w ten sposób, że przestawił w niem litery w odwrotnym porządku. Aby zaś we Francji na tem się nie połapano, wyrzucił on ze swojego przekręconego nazwiska literę „u" i podpisał wywiad nie jako Leumas, lecz jako „Lemas".

Ten drobny trick, który jest charakterystycznym przyczynkiem do dzisiejszej etyki dziennikarskiej, nasuwa dwa wnioski: 1) że Hitler nie pogardzi usługami żyda dla swojej propagandy we Francji, i że ofiaruje on nawet temu żydowi swoją fotografję (zaznaczyć należy, że autentyczność tych wywiadów w „Intransigeant" była potwierdzona przez p. v. Ribbentrop i że to potwierdzenie było w faksimilu wydrukowane pod wywiadem). 2) że ten pan Samuel-Leumas-Lemas, który wcale nie jest korespondentem żadnej poważnej gazety francuskiej, otrzymał jednak dwa wywiady od Hitlera i Hessa i że mógł się zobowiązać do opublikowania ich w prasie francuskiej. P. Samuel-Leumas-Lemas rozporządza widać świetnemi koneksjami. Należy sobie to zapamiętać. (Podobno główny akcjonarjusz „Intransigeant'u" jest współwyznawcą p. Samuela).

„Le Populaire", Paryż.

Na podstawie naszego prywatnego wywiadu wynika, że rewelacje „Populaire'u" odpowiadają prawdzie. P. Leumas jest identyczny z p. Lemas, a obaj z panem Samuelem. Również uwaga „Populaire'u", że ten Samuel-Leumas nie jest żadnym korespondentem poważnej gazety francuskiej, odpowiada prawdzie. Dowiadujemy się, że p. Leumas jest drobnym agentem filmowym, który pozostaje w stosunkach handlowych i z Ufą.

„Pariser Tageblatt", Paryż.

A każdy Goebbels swego Jankielewicza

Z instrukcji o propagandzie radjowej wydanej przez Ministerstwo Propagandy Rzeszy, na czele którego stoi Dr. Józef Goebbels.

Centrala dokłada wszelkich starań i robi wszystko, co tylko możliwe, by bezpośrednio czy też drogą wykorzystywania odpowiednich stosunków i koneksyj nawiązać stosunki z rozgłośniami w różnych krajach. Ostatnio osiągnięto na tem polu poważny sukces, kiedy właściciel kilku radjostacyj w Argentynie, p. Jankielewicz bawił w Berlinie. Jemu dostarczono wiele cennego materjału propagandowego i podobnie będzie się i na przyszłość postępowało. Jest przytem zupełnie obojętne, czy dane osoby żywią sympatję dla Niemiec, czy też mają tylko zrozumienie dla interesów niemieckich. Wspomniany pan Jankielewicz z Buenos-Aires np. jest wschodnim żydem, któremu zależy wyłącznie na lepszem wykorzystaniu swoich rozgłośni.

„Petit Parisien", Paryż.

Gazeciarze nie-aryjczycy

Żydom nie wolno będzie sprzedawać gazet — bo sprzedają gazety zagraniczne. Tylko aryjczycy będą odtąd mogli sprzedawać gazety w Niemczech. Związek sprzedawców gazet i czasopism w Rzeszy postanowił zastosować i w swoim resorcie paragraf aryjski!

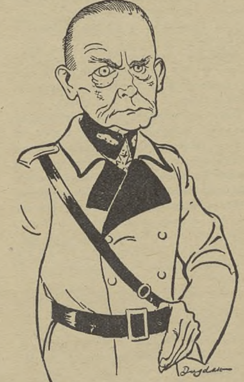
Dzieje się to dlatego, że sprzedaż gazet i czasopism na ulicach odbywa się nie według życzeń ministerstwa propagandy. Przedewszystkiem sprzedaje się jeszcze wciąż bardzo dużo gazet i czasopism zagranicznych, których ministerstwo propagandy najchętniej by się wogóle pozbyło nazawsze. Okoliczność jednak, że publiczność niemiecka zwraca się w sposób nigdy dotąd nienotowany, do pism zagranicznych ma inne przyczyny i kieruje podejrzenia w zupełnie innym kierunku, mianowicie do samego ministerstwa propagandy. I nic tu nie zmieni, jeżeli się wyruguje tych nielicznych jeszcze nie-aryjczyków, którzy jeszcze w tej dziedzinie handlu pozostali.

„Neues Wiener Tageblatt", Wiedeń.

Generał Blomberg

Człowiek o wielu przydomkach. Znany jako „Moltke Nazich", jako „sfinks". Pierwszy przydomek zasłużył swemi niewątpliwemi zdolnościami wojskowemi, podczas gdy drugi zdobył sobie stałem odmawianiem zabierania głosu na zebraniach i nie uganianiem się za popularnością.

Jest to prusak, należący do „Schwertadel", żołnierz z krwi i tradycji. Ma za sobą akademję wojenną, gdzie był uważany za najzdolniejszego śród młodych oficerów. Jest rówieśnikiem zamordowanego Schleichera i produktem regime'u Hindenburga i Ludendorfa.



Jest twórcą nowoczesnej zmotoryzowanej armji niemieckiej. Jego przyjaźń dla Hitlera ilustrują najlepiej jego własne słowa wypowiedziane do kilku oficerów Reichswehry:

„Hitler może nam się przydać"

Zapewnienia Blomberga o lojalności dla Hitlera powinny być rozpatrywane w świetle tych słów.

„The Sunday Referee", Londyn.

Wielka groźba nad Paryżem

Francuzi powinni zdać sobie sprawę, że każdej chwili są narażeni na napaść powietrzną, która ich zniszczy doszczętnie. To nietylko frazes. Opierając się na szczegółowych informacjach, na znajomości obecnych warunków w Niemczech i sytuacji Hitlera, możemy ocenić należycie groźny stan rzeczy, który nas niebawem czeka.

Hitler znajduje się obecnie w takiej sytuacji, że uratować go może tylko jakiś akt szału. A jego stan umysłu jest podatny wszelkiemu szałowi. Począwszy od tej zimy, nie będzie się wahał, — jeśli konieczność go do tego zmusi, — rzucić na Francję i Paryż potężnej armji powietrznej. Sądzi on przytem, że tak, jak w roku 1914, szybkość i brutalność działania, przyniosą Rzeszy niechybne zwycięstwo.

*

Jak możemy się przeciwstawić tym planom Hitlera? Jakie są nasze środki obrony i odwetu? Obywatela francuskiego ogarnia uczucie strachu na myśl, że w obliczu podobnej groźby, jak w roku 1914, Francja wykazuje ten sam brak przygotowania i zupełną beztroskę. Po tej najstraszniejszej próbie, po tem wspaniałem zwycięstwie jesteśmy w tym samym stopniu krótkowzroczni, w tym samym stopniu nieuzbrojeni, jak wówczas. Dzisiaj sytuacja nie jest mniej groźna, a może nawet jeszcze bardziej. Spełnimy z całą energją nasz obowiązek alarmowania opinji przed okropnem niebezpieczeństwem. Nie poprzestaniemy, dopóki nie osiągniemy celu, dopóki każdy z francuzów nie uświadomi sobie czyhającej nań klęski: *wojna jest u naszych drzwi*. Powinniśmy być gotowi na wszystko.

FRANCJA NIEPRZYGOTOWANA

Manewry powietrzne w Bourget, o których tak szybko zapomniano, wykazały, że jesteśmy nieprzygotowani do wojny. Obecnie nie jesteśmy w stanie powstrzymać ataku większej ilości samolotów i przeszkodzić zniszczeniu Paryża. W ciągu kilku godzin można zburzyć Le Bourget, nasze fabryki, nasze aparaty ataku i obrony, oraz wszystko to, co jest droższe od nas samych. Czy zdajecie sobie sprawę, co znaczy ta wisząca nad nami groźba: „Paryż zburzony"? A czy rząd godny tej nazwy może patrzeć na to ze spokojem, nie pracując dniem i nocą, całym swym wysiłkiem, całą energją, by zmniejszyć grożące niebezpieczeństwo?

Ministerstwo lotnictwa nie poczyniło żadnych przygotowań poza powzięciem kilku środków biernej obrony i to czysto teoretycznej. Nic. Nie wahamy się tego pisać, gdyż jest to rzecz niesłychana. Prawdę mówiąc, ministerstwo to od niedawna ma swą politykę. Ta polityka nie jest w zasadzie zła, powinna nawet być pochwalona, lecz jest ona niewystarczająca. Nie jest bowiem dostosowana do naszych czasów, ani do konjunktury politycznej, w której żyjemy.

KRĄŻOWNIKI POWIETRZNE

Ta polityka dąży do powiększenia ilości ciężkich samolotów o wielkiej powierzchni, mogących pomieścić znaczną ilość ludzi. Aparaty te byłyby silnie uzbrojone, opancerzone, stanowiłyby rodzaj krążowników, przeznaczonych do obrony i to na znaczną odległość. Taka armja ma założenie czysto teoretyczne. Grozi każdemu napadającemu państwu silnym odwetem, który może przerazić nawet i Niemcy.

Nie krytykujemy tej polityki, która nie może jednak mieć powodzenia. Zauważymy przytem: 1) że wybiera ona samoloty ciężkie, bardzo drogie i których wykonanie powinno długo trwać, spowodu braku kredytów i skandalicznych wymagań przedsiębiorców; 2) że będą one skuteczne tylko wtedy, gdy będziemy chcieli podjąć inicjatywę ataku, a nie bronić się; 3) że polityka odwetu wywrze bezwątpienia na Niemczech pewne wrażenie, lecz napotka tam na silną i dobrze zorganizowaną obronę.

Zaznaczamy przytem, że w Rzeszy zbudowano w okolicy Zelle podziemne lotniska, jak również, że decentralizacja przemysłowa Niemiec czyni je bardziej odpornemi od Francji; 4) że wreszcie — i to jest najważniejsze — taka polityka lekceważy zupełnie bezpieczeństwo Paryża i pozostawia go na pastwę ataku, przed którym niema obrony.

PARYŻ MOŻE BYĆ OBRONIONY

Jednakże Paryż może być obroniony. Technicy o zmyśle praktycznym zaproponowali budowę wielkiej floty lekkich i bardzo szybkich samolotów wojennych, przeznaczonych do zatrzymania za wszelką cenę napastników. Ma to być rodzaj torped, kierowanych przez lotników, których przywiązanie i poświęcenie będą stuprocentowe — prawdziwych korsarzy, zdecydowanych na wszystko. Nie ulega wątpliwości, że obecnie jedynym sposobem powstrzymania eskadry bombowej wroga, jest posiadanie aparatów wojennych, gotowych, jeśli zajdzie tego konieczność, do rzucenia się wprost na samolot nieprzyjacielski. To jest jedyne skuteczne rozwiązanie. Jest ono podobne we wszystkich punktach do obrony podmorskiej, o której zaletach wszystko już było powiedziane.



Próba napadu gazowego w Paryżu

PRZEMYSŁ LOTNICZY PRZESZKODĄ

Łatwość takiego rozwiązania rzuca się wprost w oczy. Te lekkie samoloty kosztują bardzo mało, mogą być bardzo szybko wyprodukowane i już *jutro* oddadzą nam do dyspozycji flotę, bez której możemy uważać Paryż za zniszczony. Dlaczego oficjalne czynniki zaniedbują zupełnie te środki obronne? Należy mieć odwagę, by powiedzieć prawdę. Przedsiębiorcy przeciwstawiają się temu z całych sił, ponieważ nie przyniesie im to horendalnych zysków, jakie daje budowa potężnej floty powietrznej. Są oni wszechmocni w ministerstwie lotnictwa, nie liczą się zupełnie z interesami ogółu, gdyż przemysł lotniczy jest jednym z tych, w którym interesy prywatne są przemożne. Jest nie do wiary, że nasza obrona narodowa, że bezpieczeństwo Paryża, zależne są od machinacyj kilku przedsiębiorców i rutyny biurokratycznej. Mimo wszystko, tak się dzieje. I z tem będziemy walczyli niestrudzenie.

„Aux Ecoutes", Paryż.

MARIANI — GANGSTER I DON-JUAN

Autor „Prokuratora Hallersa", ukazując nam na scenie urzędnika, który na zmianę służy z zaparciem się siebie sprawiedliwości i spędza noce w towarzystwie bandytów, uczynił ze swej postaci ofiarę choroby.

Ale oto zjawia się niejaki pan Mariani, urzędnik policji w Lille i przywódca bandy i budzi w nas wątpliwości o nieszczęsnym Hallersie. Jakie istnieją dowody na to, że ten wysoki urzędnik był człowiekiem chorym, a nie łajdakiem, jak Mariani? Najsmutniejsze w tej aferze jest to, że rzuca cień na całą policję, na ludzi, których lepiej czy gorzej znamy wszyscy.

Istotnie, tyle się ostatnio mówiło o policji, że zaczynamy z nieufnością spoglądać na tę kategorję funkcjonarjuszy państwowych.

ROZPACZ BOOKMACHERA

Stare przysłowie mówi, że głód wyprowadza wilka z lasu. Mariani miał dziurawe kieszenie i brak pieniędzy wynagradzał bogactwem pomysłów.

Przedstawiono mi w Lille miłego pana z brzuszkiem, na którym wisi złota dewizka. Kiedy mówi o Marianim, twarz jego ma wyraz bolesnego zdziwienia.

— Każdy ma swój zawód, prawda, proszę pana? Mariani wiedział, czem się zajmuje. Wyzyskiwał mnie. Przychodził i mówił: postaw za mnie 100 fr. na jakiegoś konia. Jutro ci zwrócę. Nazajutrz, jeżeli koń wygrywał, oddawał mi setkę, ale jeżeli przegrywał, nie zjawiał się aż na czwarty czy piąty dzień i historja powtarzała się nanowo.

Człeczyna aż dławi się z oburzenia... Ale co miał robić? Mariani miał zleconą pieczę nad wyścigami i narkotykami...

„COCO"

Był mistrzem w handlu kokainą. „Łapacz" uprzedzał go, kiedy przez granicę francobelgijską przejeżdżał handlarz narkotykami. Mariani zatrzymywał go i odbierał kilo, dwa czy trzy kokainy. W raporcie policyjnym składał połowę skonfiskowanej partji towaru, a resztę zatrzymywał sobie. Handlarz nie protestował, ponieważ wiedział, że będzie miał o tyle mniejszą karę, o ile mniej towaru przewiózł.

Co zaś robił Mariani? Za pośrednictwem jednego ze swych wspólników znajdował nabywcę narkotyku. „Tranzakcji" dokonywano w jakiejś kawiarni. Jak tylko klient zapłacił — nigdy wcześniej! — Mariani aresztował go.

Poczem ceremonja zaczynała się od początku.

„ROGACZ WSPANIAŁY"

Mariani podobał się paniom. Jego nieszczęśliwa żona żyje z nim w separacji Mieszka z czworgiem dzieci na Korsyce.

Piękny Mariani poznał razu pewnego bogatego kupca z Lille, którego bardzo piękna żona, dobrze była znana złotej młodzieży, zanim wstąpiła w związki małżeńskie.

Poczciwy kupiec, dumny ze znajomości z Marianim, stał się swego rodzaju mecenasem, bardzo hojnym i wspaniałomyślnym. Zaczęły się wspaniałe obiady, przejażdżki autem, zabawy z szampanem, nierzadko większe pożyczki...

Pewnego dnia dama znikła, a Mariani z nią. Posłano go gdzieś w ważnej misji. Poczciwego małżonka odwiedził Rapha, wspólnik Marianiego i łotr spod ciemnej gwiazdy, który jednem słowem umiał powstrzymać potok inwektyw i gróźb nieszczęsnego rogacza. Mariani zaś zrobił pięknej pani prezent z cudnego lobasa.

ZNACZKI STEMPLOWE

Tranzakcje Marianiego i jego wspólników byłyby trwały jeszcze długo, gdyby ci panowie ograniczyli się do swego zakresu: to znaczy do wyścigów i narkotyków.

Spodobały im się jednak znaczki stemplowe. Nie jest to materjał łatwy do prania. Mimo to pewien inspektor policji twierdzi, że we Francji kursuje około 40 miljonów fałszywych znaczków. Wielkie przedsiębiorstwa zużywają miesięcznie znaczków za 10 do 20.000 franków. Ale wielkie przedsiębiorstwa nie zaryzykowałyby nigdy kupna znaczków po cenie zniżonej. Na to trzeba amatorów...

I to właśnie zgubiło Marianiego.

Rapha zaproponował pewnemu właścicielowi garażu kupno znaczków stemplowych. Ale tak on, jak i Mariani zapomnieli najwidoczniej, że kilka lat temu szantażowali garażystę, oskarżając go o przemyt belgijskiej benzyny. Właściciel garażu zachował w sercu urazę. Udawał, że się zgadza i opowiedział w międzyczasie o wszystkiem przełożonym Marianiego.

Reszta jest wiadoma. Zamach na dworcu w Lille i aresztowanie przywódcy i całej jego bandy.

CZYŻBY PROTEGOWANY?...

Tu nasuwa się małe pytanie. Mariani miał 1.800 franków miesięcznej pensji, a żył jak miljoner. Musiał go więc ktoś protegować. Jego bezpośredni zwierzchnik, p. Ucciani, także korsykanin, popierał go wyraźnie. Ponieważ w Lille Mariani był dobrze widziany, dyrekcja policji w Paryżu nie mogła znać o nim prawdy. Ucciani umarł nagle w Lyonie, trzy dni przed zaaresztowaniem Marianiego. Dziwny zbieg okoliczności...

Czy Ucciani maczał ręce w sprawkach Marianiego? Czy jednem słowem Mariani go „trzymał"? W Lille chodzą słuchy bardziej prawdopodobne. Mariani miał jakoby wyższe protekcje. Niedawno temu odbył podróż na Korsykę, jakoby w misji specjalnej, naprawdę jako agitator wyborczy. Najlepsze jest jednak to, że płacili mu jednocześnie dwaj zwalczający się kandydaci, którym służył z jednakowym zapałem.

Czy można źle myśleć o agitatorze przedwyborczym? Pod tą maską dokonywał Mariani, jako inspektor policji — a na to stanowisko nie przyjmuje się pierwszego lepszego — jaskrawych nadużyć.

Ale cóż to znaczy? Czyż nie żyjemy pod rządami protekcji? Cóż znaczy zły przykład? I to, że odium spada także na kolegów łotra, którzy sumiennie i uczciwie pracują?

Protekcja przedewszystkiem!!

Skoro już się mówi o reformie ustroju, wartoby pomyśleć o oczyszczeniu od takich Marianich, służby bezpieczeństwa, która powinna być wzorem służby państwowej.

Zdemaskować ich nie jest trudno.

„Candide", Paryż.



Czy ta jagódka na samym dole grona nie jest trochę śmieszna? *„Razzle"*, Londyn.

ZAGADKA PAŃSTWA

CHINY — KRAJ BLUFFU

Zaczęła się ta podróż po Chinach, jak zwykle zaczynają się podróże w kraju, który szczyci się tylko trzema wielkiemi linjami kolejowemi — w autobusie.

Autobus ten, zgodnie z rozkładem jazdy, kursował między Nankinem, tak zwaną stolicą Chin, i pewną miejscowością nad rzeką Yangtse, zwaną Wu-hu. Czas przejazdu wynosił cztery godziny.

Była to rozklekotana dryndа z poszarpanym dachem i z dziurami w błotnikach.

Jedynym czystym przedmiotem w tym autobusie była tabliczka z angielskim napisem, który informował, że maksymalna ilość pasażerów może wynosić 22 osoby. Wgramoliłem się do środka i zająłem miejsce w kącie.

Nie czekałem długo. Chińczycy darzyli ten autobus szczególną sympatją. Napływali gromadami wraz z całym swoim majątkiem ruchomym. Nie troszczyli się zresztą o zbytnie wygody, nie zależało im też specjalnie na miejscach siedzących.

Kiedyśmy ruszyli, naliczyłem ich 42. Dziesięciu stało w przejściu i przechylając głowy na bok, robiło wrażenie wisielców. Przeszło tuzin natomiast pozostał na drodze.

REWIZJA CELNA

Bagaż umieszczono na dachu. Kiedyśmy dojechali do bramy nankińskiej — co trwało 10 minut — każdy musiał zdjąć swoje toboły i pakunki i asystować żołnierzom, którzy w nich coś szperali. To trwało trzy kwadranse.

Potem ruszyliśmy w drogę. Podróż była podniecająca. Jechaliśmy z szybkością czterdziestu kilometrów na godzinę, po drodze, jaką w Anglji widać tylko między dwiema gminami, które się jeszcze nie pogodziły, do kogo należy obowiązek naprawienia jej.

Kiedyśmy dotarli do Wu-hu, statek, którym miałem popłynąć wgórę rzeki Yangtse, już odjechał, a ponieważ drugi miał wypłynąć dopiero za dwa dni, wyłoniło się poważne zagadnienie, gdzie spać.

Sprawa bowiem spania nie jest wcale prosta w Chinach Środkowych. Istnieją coprawda hotele chińskie. Lecz, jeżeli zajdziesz do takiego, pożal się Boże, hotelu, przekonasz się, że niema tam w pokojach ani drzwi, ani łóżek, ani krzeseł, tylko słomiane materace, kołdry i malutkie stoliki, a jak szczęście dopisze, dużo pluskiew i szczurów. A kiedy się już przezwycięży te wszystkie niedogodności, może się zdarzyć, że w nocy, któryś z gości hotelowych zajrzy do pokoju i podniesie kołdrę, by się przekonać, kto tu śpi.

Nad brzegami Yangtse są jednak dwie możliwości ratunku: europejskie towarzystwo naftowe, lub kanonierka. Towarzystwa naftowe zaopatrują okręty w paliwo i sprzedają chińczykom naftę dla ich lamp i palników opiumowych, zaś kanonierki stanowią straż dla towarzystw naftowych i dla europejczyków, którzy znajdą się w takiem położeniu, jak ja naprzykład. W Wu-hu znalazłem kanonierkę.

CZAS NIE ISTNIEJE

W tem miejscu opowiadanie moje, zgodnie z najlepszemi tradycjami chińskiemi, gmatwa się i plącze. Albowiem w Chinach żadne przedsięwzięcie nie kończy się w przewidzianym czasie, albo w zamierzony sposób.

Jeżeli podpisze się kontrakt, to jakkolwiek ściśle warunki nie zostałyby określone, — pewne jest, że ulegną zmianie, zależnie od nowych *„warunków“*.

Jeżeli się wyruszy w podróż pociągiem, niewiadomo nigdy, kiedy się dojedzie, albowiem może się zdarzyć, że bandyci w nocy wysadzą jakiś most, albo chłopi zabiorą kilka podkładów spod szyn, by zreparować swoje chałupy. Jeżeli wyruszycie, tak, jak ja, statkiem wgórę rzeki Yangtse, może się wam przydarzyć, że będziecie musieli czekać tydzień, bo kapitan jest pijany i nie ma ochoty wyruszyć; jeżeli zaś nie jest pijany, lecz tłumaczy się tem, że maszyny nie działają. Nikt mu nie może przeszkodzić w czekaniu przez cały miesiąc nawet, aż ktoś się zjawi, by je naprawić.

Kapitan mojego statku nie był pijany, lecz czekał na ładunek, który, jego zdaniem, miał nadejść w ciągu tygodnia. Wobec tego zrezygnowałem z jego usług i skorzystałem z jedynego środka lokomocji, jaki pozostawał: poleciałem samolotem amerykańskiej linji lotniczej. W ten sposób dotarłem do miejscowości zwanej Czungking.

Czungking jest czysto chińskie. Jest to miasto stare, brudne. Jest przeludnione i straszliwie poplątane. Schody prowadzące z przystani nad rzeką do miasta istniały już w tem samem miejscu dwa tysiące lat temu. Niema tam, rozumie się, kanalizacji, a prosięta i kurczęta mieszczą się wraz z ludźmi. Przeszło 600.000 ludzi żyje tu na przestrzeni nie większej, niż Hyde Park.



Cztery urocze dziewczyny chińskie

MODERNIZOWANIE CZUNGKING

Lecz nic nie rzuca się tak w oczy, jak to straszliwe wprost pogmatwanie ulic i uliczek. Otóż Czungking znajduje się pod rządami jednego z tych generałów-bandytów, którzy nietylko utrzymują zbrojne bandy żołnierzy i arsenały, mogące się zmierzyć z łodziami podwodnemi, lecz mają również dobre chęci, szczególnie, jeżeli chodzi o racjonalną urbanistykę.

Modernizowanie miast jest, na szczęście, w Chinach sprawą bardzo łatwą i prostą. Stare prawo upoważnia bowiem każdy rząd, (a każdy rząd z tych uprawnień korzysta) do budowania dróg, gdzie mu się podoba i zmobilizowania do tej budowy tylu, wielu mu się podoba ludzi.

Otóż i generał w Czungking nie zadawał sobie dużo trudu, postarał się o mapę miasta, nakreślił na niej kierunek ulic, jaki mu się wydawał najodpowiedniejszy i wydał rozkaz, by przystąpiono do roboty.

Podwładni spełnili rozkazy wiernie. Krajali oni miasto według swego planu regulacyjnego. Jeżeli doszli do kompleksu domów, nie burzyli go zupełnie, lecz tylko na tyle, ile im było potrzeba, by drogę przeprowadzić, resztę budynku pozostawiali w spokoju. Mieszkańcy zaś tych domów, nie mając gdzie się podziać, pozostawali na miejscu, z tą różnicą, że zamiast całego domu, mieli teraz tylko połowę, a pokoje zupełnie otwarte na ulicę. Nikt nie zwraca na to uwagi, chyba, że któraś z podpórek się wywróci i spadnie na szosę, lub ktoś wprost z ulicy wpadnie do mieszkania państwa Ling i zaskoczy ich przy rannych ablucjach.

A nawet, kiedy ulica już zostanie wykończona i kiedy zmasakrowane domy powloką się nowemi fasadami, mieszkańcy nic na tem nie korzystają. Fasady są tyle warte, co błonki z pajęczyny.

Ściany bowiem są zrobione z bambusowych trzcin i gliny, i pierwszy deszcz to zmyje. Lecz kiedy to nastąpi, generała już najprawdopodobniej nie będzie w mieście.

FASADA

Najważniejszą rzeczą na Wschodzie jest zachowanie „fasady“. Jest to od wieków najważniejsza zasada w życiu chińczyka, i dzięki temu ta rasa stała się najbardziej dostojną i poważną na świecie. Chińczyk raczej straci życie, niż „fasadę“, zewnętrzną godność, powagę i dobre imię u ludzi.

Dziś to wszystko jest już tylko bzdurą. Dziś jedyną zasadą etyki społecznej w Chinach jest: — „Każdy dla siebie i dla swojej rodziny“. Fasada stała się tylko bluffem.

Oto kilka przykładów tej zmiany stosunków z Czungking. Mimo, że linja lotnicza musiała zamianować jednego z krewnych generała dyrektorem z pensją 700 funtów szterlingów rocznie, za przywilej wodowania w błotnistej zatoce rzeki, pilotom nie wolno wchodzić do miasta.

Wszędzie, gdzie byłem na Wschodzie, europejczycy są otaczani pewnym respektem, ale nie w Czungking. Tu lodów przełamać nie można, raczej można dostać sztyletem w bok. Na ulicy bogacze tak kierują swojemi lektykami, że zawsze kulisi na nogi nastąpią europejczykowi. Europejczyk jest tu znienawidzony. Jeżeli nam się udało dostać do miasta, stało się to tylko dlatego, żeśmy udobruchali żołnierza, stojącego przed bramą, udobruchali perspektywą, iż nietylko my, lecz i nasz bagaż pojedzie z nami do miasta.

PORZĄDEK MUSI BYĆ

Pewnego razu chciałem wyjechać aeroplanem z pewnej miejscowości chińskiej, lecz celnicy uparli się, że mój kufer jest za ciężki i że nie wolno mi wieźć aparatu fotograficznego. Otwierała się perspektywa stracenia albo aparatu, albo kilku części garderoby. Chińczycy tylko czekali na to, bym się rozłościł i stracił fasadę niewzruszonego spokoju, ja jednak starałem się do tego nie dopuścić. W ostatniej chwili wpadłem na pomysł. Wiedziałem, że mnie samego ważyć nie będą, więc w ich obecności otworzyłem kufer, włożyłem na siebie kilka ubrań i kilka palt, a potem oddałem kufer do ponownego zważenia. Aparat wpakowałem do kieszeni. Natychmiast wszystko było w najlepszym porządku, chińczycy uśmiechali się i pomogli mi wsiąść do samolotu. W Chinach musi być porządek, albo przynajmniej fasada porządku.

NIEMA CHIN BEZ OPIUM

W Czungking dowiedziałem się jeszcze czegoś, a mianowicie o opium. Nie zasłaniajcie tylko twarzy zgrozą! Opium bynajmniej nie jest tem, czem wam się wydaje. Nie jest to taka nadnaturalna substancja, którą, jeżeliście raz z niej zakosztowali, będziecie już zawsze musieli zażywać, bez której już żyć nie potraficie. Nie daje ono nawet, chyba u tych, którzy się mu zupełnie oddają, owych osławionych snów i wizyj chińskich. Jeżeli zażyjecie rano opium, będziecie wieczorem tak chorzy, że na przyszłość już wam się odechce próbować. Skutek będzie taki dlatego, że najprawdopodobniej zwykliście zażywać alkoholu. Otóż alkohol jest antidotum dla opium. Chińczycy natomiast nie piją, lecz zaciągają się dziennie kilka razy fajeczką opium, tak, jak niektórzy z nas piją codzień swoją szklankę piwa. Skutki przeciętnie są te same, z tą różnicą, że piwo sprowadza ociężałość, a opium natomiast działa raczej podniecająco.

Jedyną przyczyną, że w Chinach jest więcej palaczy opium, niż w Europie pijaków, jest okoliczność, że kulisi żyją w tak ciężkich warunkach, że bez tego narkotyku, nie mogliby wogóle wytrzymać.

Prawdziwy skandal z opium polega na tem w jaki sposób się uprawia i sprzedaje. Rolnicy w Chinach muszą uprawiać opium pod presją generałów i gubernatorów, tak, że nie zostaje im już dosyć roli na uprawę zbóż i na wyżywienie swoich rodzin. Potem generałowie i gubernatorowie sprzedają opium i ciągną z tych tranzakcyj olbrzymie zyski, które obracają nie na wyżywienie głodującej ludności, lecz na utrzymanie niepotrzebnych wojsk i budowanie pałaców dla siebie.

Zasadniczo opium jest zakazane w całych Chinach, lecz znaczy to, że tylko gubernatorowie i urzędnicy mają prawo uprawiać je. Zamiast przewozić je przez granice celne, wyrzucają je za burtę do małych łódek, a potem sami lub ich kreatury przychodzą dokonać rewizji celnej.

Tak, Chiny to wielki kraj.

„Sunday Dispatch“ Londyn.

„NOWE ŻYCIE“ W CHINACH

Gdyby piękne hasła i mądre powiedzenia wystarczyły do wychowania 400 miljonów ludzi i do rządzenia nimi, kierownicy „Nowego Życia“ w Chinach dawnoby już swoje cele osiągnęli i mogliby już spocząć na laurach. Odkąd silny człowiek Chin, generał Szang-Kaj-Szek powołał tę organizację do życia, chińczyk napotyka na każdym kroku na wspomnienia i hasła, które dotyczą wszelkich przejawów jego życia prywatnego, czy publicznego. Jest on poprostu bombardowany temi hasłami.

W przekonaniu, że tylko naukowe wskrzeszenie prawiecznych cnót chińskich może doprowadzić do odrodzenia Chin, propagatorowie tego odrodzenia przewertowali wszystkie katechizmy religijne i antologje moralnych aforyzmów, nie gardząc nawet hasłami amerykańskich prohibicjonistów, i darzą niemi swoich współobywateli. Na ścianach urzędów, na murach domów na ulicy, na ekranach, słupach reklamowych, przez głośniki, megafony, na każdym kroku i o każdej porze napomina się syna Państwa Smoka i wbija mu się w głowę hasła tej mniej więcej treści:

Uprzejmość i posłuszeństwo prawom prostuje ścieżki żywota!

Nie poluj, nie pal, nie jadaj na ulicy!

Śmierć szczurom i komarom!

Myj codziennie twarz i ręce!

Utrzymuj swoją odzież w czystości!

Nie zapomina się również o lotnictwie i przy pomocy ulotek rozsiewanych z samolotów uświadamia się ludność, że „W przyszłej wojnie decydującym czynnikiem będzie lotnictwo“, a więc „Ucz się latać!“

I tak w każdej dziedzinie organizacja „Nowe Życie“ z zapałem godnym tej pięknej sprawy zachęca innych i stara się przez swoich członków świecić przykładem. Mimo, to, sukcesy są niewielkie i będą jeszcze mniejsze, jeżeli „Nowe Życie“ swojego rozmachu nie opanuje. Taki kraj, jak Chiny, mające za sobą tylowiekową tradycję tylko powoli i stopniowo można reformować *„Prager Tageblatt“, Praga.*

ŻÓŁTEGO SMOKA

Masonerja chińska

Jedną z najdziwniejszych w oczach człowieka zachodu cech życia chińskiego jest rola jaką w niem odgrywają „tajne stowarzyszenia".

Właśnie dowiedziałem się o stowarzyszeniu „Ching Pang", czyli „Zielonej grupie", które posiada ogromne wpływy wzdłuż całej doliny Yangtse.

Zasadniczo należą do tej organizacji wszyscy robotnicy wzdłuż rzeki, szczególnie zaś pracownicy doków i portu w Szanghaju.

Nie jest to jednak związek zawodowy w naszem pojęciu, i członkami jego są również kupcy, wojskowi i przywódcy polityczni.

Początki tej organizacji gubią się w mroku przeszłości. Pewne ślady wskazują na to, że wywodzi się ona z An-Czing-Pangu, organizacji założonej w XVII wieku, w celu obrony wieśniaków przed bandytami. Lecz najchętniej przyjmowana legenda głosi, że założycielem jej był mnich Lo Czu w wieku XIX. Lo Czu przeprowadził pacyfikację barbarzyńskiego plemienia Miao, a potem zrezygnował z zaszczytów cesarskich i wycofał się, jako pustelnik, do jaskini w górach około Hangczow.

Do niego przybyli trzej młodzieńcy, Wang, Czien i Pang, i prosili go, by ich przyjął za uczniów. Przez długie dni siedzieli przy wejściu do jaskini w śniegu. Wkońcu Lo Czu przyjął ich i zgodził się, by z nim pozostali.

Po kilku latach surowej dyscypliny Lo Czu powiedział do nich: „Zejdźcie w doliny i brońcie handlu zbożem przed bandytami".

Zeszli w doliny, zmobilizowali armję 1000 ludzi i bronili dżonek zbożowych przed bandytami. Ta armja stała się kolebką Ching Pangu. Wang, Czien i Pang byli pierwszymi mistrzami, którzy patrjarchalnie rządzili tą organizacją.

Oni, narówno z Lo Czu, odbierają cześć boską od członków Ching Pang'u. Organizacja posiada dziesięć Wielkich Przykazań Pangu, których istotą jest bezwzględna dyscyplina i zupełna solidarność.

Niektóre z tych przykazań są ujęte w formuły mistyczne, naprzykład:

„Nie zabierzesz węgla, a pozostawisz skrzynię". Prawdopodobnie znaczy to, że członek Ching Pangu nie powinien dążyć do osobistych korzyści kosztem drugich członków bractwa.

Każde przekroczenie „Wielkich Przykazań" jest karane, a karą jest śmierć.

Obok Wielkich Przykazań istnieją specjalne regulaminy. Każdy członek, np. ma prawo do gościnności innego członka, i wszyscy solidarnie mają się starać o uwolnienie któregokolwiek członka z rąk policji.

Większość praw jest jednak tajna, wiadome jest tylko, że rząd w Chinach Środkowych nie utrzyma się, jeżeli nie ma za sobą poparcia Ching Pangu.

„Daily Herald", Londyn.



Rysunek z komunistycznego pisma chińskiego: Ciemiężone Chiny

Chińskie Sowiety

Pierwsze miejsce wśród komunistycznych partyj świata po bolszewikach należy do partji chińskiej. Partja ta rozciąga już władzę nad większem terytorjum od Francji, Niemiec lub innego imperjalistycznego państwa, oprócz U.S.A.

Czerwone armje Chin Sowieckich, dobrze doświadczone w wojnie domowej, mają już za sobą odparcie pięciu ataków, prowadzonych przeciwko nim przez Czang-Kai-Szeka. Taka armja i taka partja są poważną pozycją na Dalekim Wschodzie.

Zdania te są zaczerpnięte przez generała Jachontowa z raportu, odczytanego przed 17 Kongresem Partji Komunistycznej, który odbył się w lutym b. r. w Moskwie, przez wybitnego komunistę, nazwiskiem Manilulsky. Są one zupełną prawdą.

Każdy, kto studjuje zagadnienia chińskie, spotyka się nieustannie z faktem, że jedną z najważniejszych, a może najżywotniejszą siłą w Chinach jest komunizm. Stan rzeczy może ulec zmianie, lecz nie wydaje się to prawdopodobne, raczej siła komunizmu wzrośnie, jeśli Japonja lub inne państwo zechce interwenjować przez popieranie nankińskiego rządu „silnej ręki". Jednocześnie niema w Chinach siły bardziej trudnej do oceny. Zsowietyzowane okolice są niedostępne dla burżuazyjnych dzienników. Przeważnie wiadomości są albo zdecydowanie wrogie, albo entuzjastycznie przychylne.

Jasne jest, — jak zapewnia o tem generał Jachontow, — że obecnie chłopi w Sowietach, są żywiołem znacznie ważniejszym od proletarjatu.

Dlatego wielu pisarzy uważa, że rewolucja jest jedynie rewoltą chłopską, podobną do wielu innych w historji Chin, pozornie idącą na rękę komunizmowi, lecz oddalającą się od niego z chwilą, gdy posiadacze ziemscy będą zmuszeni do nowego podziału gruntów. Z drugiej strony jednak powstaniem agrarnem kierują Sowiety i może sczasem uda im się zmienić ten ruch w komunizm proletarjacki.

Uczciwy zamiar przedstawienia rzeczywistego charakteru jest ogromnie potrzebny. A gen. Jachontow, jest uczciwym nawet wtedy, gdy poddaje się wpływom, lub jest źle poinformowany.

Rozpoczyna swą książkę od rewolucji Taipinga przed 20 laty, gdyż było to pierwsze powstanie chłopskie, skomplikowane przez nacisk państw zachodnich.

W dalszym ciągu gen. Jachontow zajmuje się dziejami Chińskiej Partji Komunistycznej, sowietyzacją części Chin i rejestrem niepomyślnych kampanij antykomunistycznych. Interesujący jest rozdział o konfliktach w partji komunistycznej, dowodzi on, że komuniści ortodoksyjni bardziej wierzyli i liczyli się z możliwościami rewolucji w Chinach, niż Trocki lub Czen-Tuhsin, — chiński marksita, który początkowo był pionierem partji, a później został z niej wykluczony.

Ostatni rozdział jest zebraniem i streszczeniem osiągniętych wyników. Wraz z resztą książki dowodzi on niezbicie faktu, że Chiny Sowieckie przekroczyły już fazę biernego jedynie oporu przeciw uciskowi i są zdolne do dalszego, konstruktywnego rozwoju.

Do książki dołączona jest w charakterze dodatków pewna ilość dokumentów, w których najbardziej interesującem jest sprawozdanie dla Centralnego Komitetu Wykonawczego Chińskiej Republiki Sowieckiej, złożone przez prezydenta komitetu gen. Mao Tse-Tun. Raport ten wyjaśnia, jak ściśle przestrzegane są w Chinach metody, a nawet frazeologja ortodoksyjnego komunizmu rosyjskiego, mimo, że Sowiet Chiński nie zajmuje prowincyj, położonych bliżej Rosji i mimo poważnych trudności w porozumieniu się z Moskwą.

„Literary Digest", Nowy Jork.

WALKA O PIASKI AFRYKI

Targi francusko-włoskie o Afrykę

Podczas pobytu w Rzymie czeka pana Barthou przykra przeprawa, a mianowicie, żądania włoskie w sprawie Sahary. Włoska szkoła kolonjalna domaga się dla Włoch, jako dla sukcesorów imperjum otomańskiego w Afryce, „zaplecza" Trypolitanji aż do jeziora Czad.

Ta teorja „zaplecza" powstała jeszcze podczas pierwszego podziału Afryki, kiedy to każde mocarstwo domagało się dla siebie całego „Hinterlandu" za swoją posiadłością na wybrzeżu morskiem.

Przy tym podziale Afryki Włochy były pominięte. Dopiero w 1911 zajęły one Trypolitanję po wojnie z Turcją i stąd ich pretensje do trypolitańskiego zaplecza. Pozatem istnieje jeszcze zobowiązanie zawarte w Londynie w roku 1915, mocą którego Włochy za przystąpienie do koalicji podczas wojny, miały otrzymać kompensacje w Afryce, o ile aljanci sami powiększyliby tam swoje posiadłości. Anglja zapłaciła ten niehonorowy dług odstąpieniem krainy Dżuba, Francja natomiast zgodziła się tylko na uregulowanie granic między Trypolitanją a Tunisem. Toteż Włosi utrzymują, że ich pretensje z tego tytułu, nie zostały jeszcze przez Francję uregulowane.

A nie chodzi tu bynajmniej o skrawek jałowej pustyni. Włochy mają oko na „korytarz", na najprostszą drogę do Sudanu zachodniego. Od Trypolitanji przez Tummo i Bilmę prowadzi ku wybrzeżom jeziora Czad prastara droga karawanowa. Droga żelazna lub autostrada wzdłuż tego szlaku byłaby najlepszem połączeniem między jeziorem Czad a Europą Śródziemnomorską. Imperjum kolonjalne francuskie w Afryce stanowi jeden jednolity blok, obejmujący Marokko, Alger, Tunis, Senegalję, Francuską Guineę, Dahomey, Francuski Sudan i Francuską Nigerję. Gdyby Włochy dostały tych napozór nieznacznych 500 mil pustyni, ten jednolity blok byłby rozbity.

Toteż zgoda Francji jest nieprawdopodobna. Włosi mogą się powoływać na teorję „zaplecza", na swój spadek po turkach, na traktat londyński. Francja dysponuje jednym argumentem, który przeważa wszystkie argumenty włoskie — Francja te ziemie ma w posiadaniu.

„Baseler Nachrichten", Bazylea.

Konflikt włosko-abisyński

Od trzech miesięcy krążą uporczywe pogłoski na temat nieuniknionej wojny włosko-abisyńskiej.

Niektórzy są zdania, że sytuacja ta przysparza wiele trosk rządom europejskim, inni twierdzą, jakoby Mussolini miał osiągnąć całkowite porozumienie z Londynem i Paryżem. Wolne ręce w Abisynji miały być jednym z warunków Rzymu zawarcia przymierza franko-włoskiego: podział Afryki dobiega końca!..

Abisyńczycy są sympatycznym narodem i z punktu widzenia moralności, było wprost nieprzyjemnie patrzeć, jak Z.S.R.R., wchodzi triumfalnie do Ligi Narodów, podczas gdy Abisynja nie została dopuszczona do tego zaszczytu, pod pretekstem, że nie zniosła u siebie niewolnictwa.

Wyczuwamy wielką niesprawiedliwość w takiej ocenie sytuacji, oraz w konsekwencjach politycznych, jakie z niej wyciągnięto. Ale nie do nas, drugiej potęgi kolonjalnej na świecie, należy oburzanie się na zamierzenia naszych przyjaciół łacińskich. Zdajemy sobie dokładnie sprawę, że arabom żyje się lepiej pod naszem panowaniem, niż za rządów ich bejów i sułtanów. Czyż ta zasada nie jest równie dobra i u źródeł Nilu?

Pretekstem kampanji włoskiej ma być flirt Abisynji z Japonją. Negus o mało nie poślubił pewnej księżniczki japońskiej, cała sprawa rozbiła się naskutek sprzeciwu Rzymu. Ale główną przyczyną jest przychylność Abisynji dla żółtego dumpingu, przyczem przemysł białych jest całkowicie wyeliminowany.

Polityka ma swoje sprzeczności. Mussolini nie przestaje od dwuch lat zapewniać, że nie jest „rasistą"; dla podkreślenia swych słów nawiązuje przyjacielskie stosunki ze sferami inteligencji na Wschodzie. I oto właśnie Mussolini zerwie jutro pierwsze węzły przyjaźni między Afryką i Azją.

„Je suis partout" Paryż.

Italja obawia się ataku Abisynji

Gubernatorzy dwuch kolonji włoskich w Afryce wyjechali w tych dniach na swoje stanowiska spowodu ogłoszenia przez Italję wiadomości o zamierzonym ataku na te kolonje. Pewien wysoki urzędnik kolonjalny wyjawił, że Włochy wysłały posiłki wojskowe oraz amunicję do kraju Somali i Eritrei, nad brzegami Morza Czerwonego.

Dwa zjawiska spowodowały to nagłe poruszenie w sferach kolonjalnych. Oba mają swoje źródło w Abisynji, granicząjcej z Somali i Eritreą.

Pierwsze — to wzmagające się z dnia na dzień wpływy japońskie w Abisynji, tym starożytnym kraju, którego mieszkańcy wywodzą się od króla Salomona i królowej Saby. A pozatem, władca tego kraju cesarz Haile Selassie zmodernizował ostatnio swą armję, zaopatrując ją w aeroplany, karabiny maszynowe, artylerję polową i inne najnowsze urządzenia. Dodać należy, że abisyńska kawalerja należy do najlepszych na świecie. Armja abisyńska składa się z 150.000 ludzi i w ciągu ubiegłych miesięcy krążyły uporczywe pogłoski, że wybuch wojny świętej w niedalekiej przyszłości jest bardziej niż prawdopodobny.

Według opinji dobrze poinformowanych osobistości, stanowisko europejczyków wogóle jest we wschodniej Afryce niepewne, i wojna jest tak nieunikniona, że Italja postanowiła uzbroić swe kolonje natyle, aby mogły się bronić wrazie potrzeby, nie zwracając się o pomoc do kraju macierzystego.

Italja zaprzecza pogłoskom, jakoby miała zamiar zaatakować Abisynję. Ostatnio ministerstwo wojny utworzyło specjalne kursy języka abisyńskiego dla oficerów włoskich na wypadek ewentualnego konfliktu.

Włochy są zazdrosne o wpływy jakiegokolwiek państwa w Abisynji. Chodzi przedewszystkiem o Japonję, aczkolwiek modernizację armji abisyńskiej przeprowadzono pod kierunkiem belgijskiej misji wojskowej.

„Aftonbladet", Sztokholm.

20 DNI W POLSCE

REPORTAŻ PIERRE BOST'A

Pisarz francuski Pierre Bost drukuje w znanym tygodniku paryskim „Marianne“ swoje wrażenia z pobytu w Polsce, odznaczające się nietylko bystrością, ale i rzeczowością.

Jest rzeczą zupełnie zrozumiałą, że przed wyjazdem do Polski postarałem się o pewne informacje. I oto dowiedziałem się czegoś zgoła nieoczekiwanego. Wiedziałem, że Polska jest trochę mniejsza od Francji i trochę większa od Anglji, ale tabela porównawcza gęstości zaludnienia była dla mnie rewelacją: Wielka Brytanja: 189 mieszkańców na 1 klm², Polska: 85 Francja: 76.

Fakt, że Polska jest sklasyfikowana przed Francją, był dla mnie niespodzianką. Nie wiedząc o niczem, przypuszczałem, że Polska posiada liczne prowincje, jeśli nie zupełnie niezamieszkałe, to w każdym razie o bardzo słabem zaludnieniu. Mówiono mi o jej wielkich przestrzeniach na wschodzie, o błotach, królestwie dzikich kaczek, gdzie z chwilą zarysowania się państwa Polskiego samoloty wykrywały maleńkie wioski-wysepki, w których nie wiedziano nawet o Wielkiej Wojnie... A jednak myliłem się. Polak jest płodniejszy, niż francuz!.. Trudno!..

Polska jest krajem kontrastów. Jeśli porównamy Wilno, przypominające miasto dawnej Rosji, i nowoczesny Poznań, tłumy wiernych, klęczące na bruku przed figurami świętych i lotnictwo komunikacyjne, które uważane jest za najbezpieczniejsze w Europie, olbrzymie lasy, gdzie żyją dotychczas żubry i wspaniałe doki w Gdyni — widzimy, że Polska składa się jakgdyby z różnych krajów, z różnych epok.

Na jakiejś małej stacyjce, między pustemi wagonami i stosem węgla ukazuje się nagle... zając, za chwilę znika w długich susach. Polska jest rajem dla myśliwych.

Dwa konie na widok przejeżdżającego expressu szarpią niespokojnie wózkiem z mlekiem, uciekają spłoszone. Czyżby nigdy nie widziały lokomotywy? Raczej biorą pociąg za samochód, który na polskich drogach jest rzadkością. Przedewszystkiem, ponieważ aut jest bardzo mało, a następnie — co tłumaczy ten stan rzeczy — ponieważ Polska dopiero rozpoczęła wielkie i kosztowne prace, związane z rekonstrukcją swych dróg. Cel zostanie z pewnością osiągnięty. Tymczasem drogi, wysadzane drzewami owocowemi są złe, błotniste, przejazdy kolejowe nie są niczem zabezpieczone. Można przejechać 300 klm., nie spotkawszy jednego samochodu. Zapewne tem się tłumaczy do pewnego stopnia rozwój lotniczych linij komunikacyjnych funkcjonujących bez zarzutu.

WARSZAWA BEZ WISŁY

Wiadomo, że najpiękniejsze miasta powstały nad rzekami. Berlin niema rzeki, gdyż Szprewy nigdzie nie widać, Tamiza w Londynie nie bierze żadnego udziału w architekturze miasta, Warszawa jest właściwie pozbawiona Wisły.

Fatalne położenie miasta jest dziełem rosjan, dążących do stworzenia z Warszawy brzydkiego miasta prowincjonalnego. Stolica odwróciła się plecami od swej rzeki, rozwinęła się zdala od niej. Rosjanie pozwolili budować nad jej brzegami fabryki, zatruwające dymem i wyziewami całą okolicę nadrzeczną. Niema nic smutniejszego nad te brzegi, które mogłyby być czarujące, jako elegancka dzielnica willowa. Obecnie toczy się zacięta walka przeciwko tym obcym naleciałościom.

Warszawa nie jest co się nazywa pięknem miastem. Ale cudzoziemiec znajdzie w niej wiele rzeczy naprawdę ciekawych, zadziwiających niekiedy, zwłaszcza w pierwszych dniach pobytu. A więc przedewszystkiem w mieście, posiadającem 1.300.000 mieszkańców, istnieje niebywała mieszanina rzeczy najbardziej nowoczesnych z zupełnie przestarzałemi, modernistyczne, jasne ulice, pyszniące się wspaniałemi drapaczami chmur — i wąskie, krzywe uliczki. Eleganckie, ładne i zgrabne kobiety — i staruchy w łachmanach, całujące nogi Chrystusa po kościołach.

OFICEROWIE WSZĘDZIE

Na ulicach widzi się moc księży i mnichów, bardzo dużo oficerów. Nie przypominam sobie, żeby Polska miała więcej oficerów, niż Francja. Ale oficerowie polscy noszą stale mundury wojskowe, jest to zwyczaj obcy francuzom. Oficerowie odgrywają również poważną rolę w życiu polskiem. Jak wiadomo, armja jest podstawą nowej Polski. Połowa całego budżetu państwa idzie na potrzeby wojska, nic więc dziwnego, że jest ono oczkiem w głowie narodu. Na rozgrywanym ostatnio meczu tenisowym między drużynami Francji i Polski, główny sędzia wystąpił w mundurze oficera Wojsk Polskich. Muszę przyznać, że podobny pomysł nikomu z nas nie przyszedłby do głowy.

DOROŻKI

Ale do wszystkiego można się przyzwyczaić, i w trzy dni po przybyciu do Warszawy nie zwracałem wogóle uwagi na mundury oficerów. Natomiast inne ciekawe zjawiska zaabsorbowały mnie całkowicie. Przedewszystkiem dorożki, tak bardzo przypominające Rosję — konie zaprzężone na sposób rosyjski, woźnica z blaszaną tabliczką, na plecach, jak jakieś zwierzę z wystawy hodowlanej... dorożki, dawno zapomniane przez nasze miasta o wielkim ruchu kołowym, o szybkiem tempie życia, dorożki, popularniejsze niż taksówki, które uważane są prawie za luksus!

Polska jest krajem, gdzie życie jest pełne fantazji. To mi się podoba. Wiem dobrze, że niektórzy z mych przyjaciół-polaków zmarszczą czoło, czytając to zdanie. Nie lubią oni, gdy się mówi o czarze i fantazji a propos ich ojczyzny. Nie mają jednak racji.

Polska jest równie wielkim narodem, jak inne, z jej lokomotywami, ubezpieczeniami społecznemi, kopalniami żelaza i astronomami, godnymi następcami Kopernika. Wszystko to jest bezsporne prawdziwe. Polska jest wielką potęgą w nowoczesnem pojęciu tego słowa.

GODZINY NIE MAJĄ ZNACZENIA

Ale trudno, jej czar polega na miłym i pełnym fantazji rytmie życia. Więc przedewszystkiem w Warszawie godziny nie mają żadnego znaczenia. Zajęcia przyzwoitego człowieka nie są uregulowane według czasu, ale przeciwnie czas dostosowuje się do zajęć ludzi.

Paryż uchodzi za kapryśne miasto? Co za absurd! Jesteśmy ohydnymi mieszczuchami, zależnymi od zegara, a zwłaszcza od przenajświętszych godzin posiłków... W Warszawie niema o tem mowy! Wszyscy jedzą obiad, i dobrze jedzą. Ale o której godzinie — to nie gra roli: od godziny 1.30 do 5-ej!

Niema również godzin biurowych, rozkład pracy zależny jest od pracodawcy. Naogół pracuje się od 8-ej rano do 4-ej po południu, poczem jest się wolnym. Jednak praca w innych godzinach jest dopuszczalna. To nie ma żadnego znaczenia! W zależności od dnia, je się obiad o 2-ej lub o 4-ej, kolację przed lub po teatrze. Proszę mi wybaczyć te szczegóły, ale ta niestałość godzin wydaje mi się godna uwagi. Polskie niebo zmienia się szybko, klimat polski jest niestały i w ciągu jednego dnia mogą panować trzy pory roku. Istnieją z pewnością jakieś tajemne więzy między tak na pozór różnemi zjawiskami.

Tak więc w Polsce żyje się swobodnie. Cudzoziemcy są przyjmowani z całą gościnnością. W dzielnicach biedaków panuje wielka nędza, dzieci chodzą boso, trzeba przyznać, że u nas, we Francji nie znamy już tej nędzy wyjątkowej, którą widać w Warszawie. Ulice nowoczesne, wielkie eleganckie magazyny i kawiarnie, a w środku miasta ukazuje się nagle.. pustynia, plac Saski, obecnie nazwany placem Piłsudskiego.

Na każdym kroku spotyka się biura loterji — polacy są do tego stopnia graczami, że podobno wynaleźli specjalny system zapisywania punktów przy grze w bridge'a, celem zwiększenia czynnika hazardu.

W Warszawie jest kilka lokali nocnych, gdzie się je i tańczy. W sprawie bardziej wyszukanych przyjemności mogę powiedzieć, że prostytucja jest pod kontrolą, ale domy publiczne nie są tolerowane; dwie kobiety lekkich obyczajów mogą mieszkać razem, ale trzy już nie. Oczywiście w praktyce jest zupełnie inaczej. W każdym razie życie nocne wydało mi się pod tym względem dość spokojne.

WARSZAWA ZNA FRANCJĘ

W rozmowie z warszawiakami należy mieć się na baczności — gdy mówi się o Francji, Paryżu, literaturze francuskiej. Nasz rozmówca zna temat o wiele lepiej.. od nas! Mówi on po francusku równie swobodnie, jak my, lepszym akcentem, niż wielu francuzów z Prowancji lub Alzacji. Zna gruntownie całą literaturę francuską — począwszy od klasyków, skończywszy na ostatnich nowościach wydawniczych. Dla nieznających francuskiego istnieją liczne i dobre tłumaczenia.

Jakże nie podziwiać Boya-Żeleńskiego, tego niezwykłego specjalistę, który przełożył na język polski niezliczoną ilość najznakomitszych dzieł literatury francuskiej, owoc pracy całego swego życia?!

Polacy kochają swych poetów. U nas, we Francji, poezja jest luksusem. W Polsce jest ona najważniejszą formą literacką. Gdy „Wiadomości Literackie“ ogłaszają konkurs, jest to konkurs poetów, publikuje się nagrodzone poezje wraz z fotografjami autorów. Nie jest to bynajmniej gazeta dla wybranych, ale tygodnik, który można znaleźć na każdej najmniejszej nawet stacyjce, który jest czytany na ławkach w parkach... Gdybym był poetą, to dalibóg, przyjąłbym chyba obywatelstwo polskie.

SŁABA PRODUKCJA KINOWA

W Warszawie jest kilka czarujących „kawiarni literackich“, a zwłaszcza IPS. Widziałem tam poetów i powieściopisarzy, krytyków malarzy, aktorów i aktorki — jakby małe miasto w mieście — a wszyscy się wzajemnie znają! Poznałem tam również kierowników polskiej produkcji filmowej, która (jak mi wyznali sami twórcy) jest jeszcze w powijakach. Warszawa ma swoje studjo, gdzie w roku ub. nakręcono 10 filmów krajowych, z których podobno cztery były... wcale niezłe. Jest rzeczą zupełnie oczywistą, że rozwój tak kosztownego przemysłu, jak film jest niemożliwy w kraju, liczącym 700 sal kinematograficznych, z których 300 zaledwie posiada aparaturę dźwiękową. Tymczasem na słupach ogłoszeniowych (gdzie naklejane są również zawiadomienia o zgonie któregoś z mieszkańców danej dzielnicy) widnieją reklamy filmów z Gary Cooper'em, Gretą Garbo i Albertem Prejean'em. W braku dobrych filmów rodzimej produkcji, Polska ma zato znakomite teatry.

TEATR A PAŃSTWO

Polacy uwielbiają teatr, który ma dla nich tak wielkie znaczenie, że ostatnio znalazł się nawet pod opieką Państwa. Ukonstytuowało się pół-urzędowe Towarzystwo, w którem zgrupowane są wszystkie najlepsze teatry warszawskie — rodzaj bloku teatralnego. Gdyby podobna impreza miała powstać w Paryżu, nie bylibyśmy oczywiście z tego zadowoleni: w rękach prywatnych groziłoby niebezpiecznym monopolem, w rękach urzędowych obawialibyśmy się teatru Państwowego. Ale Paryż to nie Warszawa! Kraj który scentralizował swe życie na jednym człowieku, nie lęka się oddać swych teatrów stołecznych w jedne ręce.

Teatry warszawskie są duże i ładne, posiadają obrotowe sceny i wytrawnych reżyserów. Byłem obecny (nie rozumiejąc niestety tekstu) na przedstawieniu sztuki p.t. „Klub Kawalerów“ Bałuckiego. Wystawa wspaniała, gra mistrzowska. Nie często widzi się w Paryżu sztukę wystawioną z taką maestrją.

W małym teatrzyku zwanym „Bandą“ zdala od śródmieścia, zgrupowali się młodzi artyści, kochający muzykę, dobry humor i ciętą satyrę, grają tam rodzaj rewji bez wielkich dekoracyj i z dużym umiarem. Widowisko przypomina kabarety na Montmartre lub „Nietoperza“ Balieffa. Widziałem tam doskonałych komików, znakomitych tancerzy, słyszałem sketche, napisane przez najlepszych polskich poetów...

KRAKÓW PODCZAS POWODZI

Chciałem zobaczyć Zakopane, tę dumę polaków... ale bogowie zadecydowali inaczej. Wsiadłem do pociągu Warszawa-Zakopane i przejechałem podczas ulewnego deszczu 450 klm. Była już ciemna noc, gdyśmy przyjechali do Krakowa. W korytarzach wagonów powstało zamieszanie. Na peronach funkcjonarjusze kolejowi wykrzykiwali jakieś zdania, które podróżni powtarzali sobie z widocznem podnieceniem. Ludzi zaczęła ogarniać panika. Z wagonów wyrzucano bagaże, zwoływano dzieci...

Nareszcie zrozumiałem! Nie jedziemy do Zakopanego! Podczas, gdy deszcz padał na nasze wagony, padał również i w górach. Potoki i rzeki, wezbrane ulewą, podmyły szyny i mosty — linja była przerwana. Dworzec krakowski był bardziej hałaśliwy i bardziej jeszcze przepełniony, niż normalny dworzec polski — dotychczas nie rozumiem, dlaczego polski dworzec sprawia zawsze wrażenie, jakby wszyscy uciekali przed najeźdźcą, stojącym już u wrót miasta?!...

Zostajemy w Krakowie? Zgoda! Zdobywanie taksówki wpław nie jest rzeczą łatwą. Gazeciarze sprzedają dodatki nadzwyczajne o katastrofie powodzi... Ma się wrażenie, że to jakieś rozruchy lub wybuch wojny...

Kraków, miasto wspomnień, jest dla Polski jej skarbnicą, jej księgą historji... Kraków trzeba samemu zobaczyć. Jest to jedno z tych miast, gdzie człowiek czuje się, jak u siebie w domu.

„Marianne“, Paryż.

Anglik o „izolacjonizmie“ Polski

(Dokończenie ze str. 1)

jach narodu i o sile zwolenników marszałka Piłsudskiego.

Podróż po Polsce jest bardzo kształcąca. W tem nanowo wskrzeszonem państwie łatwo zauważyć zalety i wady nacjonalizmu. We wszystkich warstwach jest silnie rozwinięta duma narodowa. Nawet portjer hotelowy powiedział mi z odcieniem arogancji, że to Polska dostarczała Wielkiej Brytanji węgla podczas strajku generalnego.

W chwili obecnej Polska jest ubogą krewną Wielkich Mocarstw. Cierpi na wyraźny kompleks mniejszej wartości, który przeradza się w pozory arogancji i zarozumialstwa. Drogi polskie należą do najgorszych w Europie i niema pieniędzy na doprowadzenie ich do porządku. Ale przez cały czas podróży zapewniano nas, że w Polsce drogi są dobre, ale — z potrząsaniem głową — „na Litwie są bardzo złe“.

Naród jest biedny, ale wytrwale dąży do poprawy. W zeszłym roku zdecydowano rozpisać pożyczkę wewnętrzną w wysokości 10 mil. funtów, która przypominała trochę przymusowy podatek. Ale nawet w Warszawie ludzie są tak biedni, że kupują papierosy na sztuki, bo nie mogą sobie pozwolić na paczkę.

Wszystkie narody powinny okazywać Polsce sympatję i zrozumienie. Ma swoje wady, ale zasługuje na podziw. Przez półtora wieku kraj był pod panowaniem zaborców. Przez cały ten czas patrjoci polscy pracowali nad odzyskaniem niepodległości. Robili powstania, które były dławione; buntowali się znowu. Wojna trwała dla nich do r. 1921. Kraj był bezustannie niszczony. Ale ducha nikt nie potrafił złamać.

Dziś — Polska ma stałe miejsce na mapie Europy.

„News Chronicle“, Londyn.

Guelfo Civini

PRZEBACZENIE ŚWIATU

Pewnego dnia Przedwieczny miał już tego dosyć. Ze wszystkich światów, które stworzył i pchnął na gwiezdne drogi nieskończonej przestrzeni, żaden Mu tyle przykrości nie sprawiał, ile nasz. Było to w czasach dalekich, w czasach, z których nie przechowało się nic, prócz tego, co właśnie zamierzam opowiedzieć.

Wszystko było zupełnie inne, niż dziś: ziemie, morza, rośliny, zwierzęta, ludzie. Może zieleniły się jeszcze w słońcu ziemie Atlantydy i Tyreneidy, podczas gdy Sahara była wielkim oceanem. Z roślin istniały takie, których dziś już niema, a nie było takich, do których my jesteśmy przyzwyczajeni. Róża była nieznana. Ptaki istniały zaledwie od kilkuset tysięcy lat, nie umiały jeszcze śpiewać. Nad lasami unosiły się jeszcze olbrzymie smoki skrzydlate o zębatych dziobach. Ludzie byli starsi, niż ptaki, ale i oni byli jeszcze bardzo zacofani. Nie znali jeszcze metali, nie mieli pojęcia o sztuce murarskiej. Żyli przeto po największej części w grotach naturalnych. Tylko niektóre szczepy, na ziemiach Tyreneidy, zaczynały już w letnich porach roku budować szałasy. Wszyscy żyli z tego co natura dobrowolnie ofiarowała na ziemi, w powietrzu i w wodzie; z owoców dziko wyrosłych, z myślistwa, z rybołóstwa. Musiało jednak minąć jeszcze wiele tysięcy lat, zanim mała Taffy córeczka rybaka, o której mówi Kipling, wynalazła alfabet.

Ludzie jednak już sobie porobili zbroje z drzewa lub z kamienia i byli już wtedy bardzo źli. Choć było ich stosunkowo mało na ziemi, choć ziemia była wielka i miejsca dla wszystkich było aż za dużo, wojowali, czaili się jedni na drugich, porywali sobie bydło, dzieci, zabijali się wzajemnie, walczyli o to, by móc pozostać w jednem miejscu, a nie innem, nad tą rzeką, a nie inną. Plemiona całe krwawiły w ustawicznych wojnach o kobiety.

A wszystkie zwierzęta, i leśne, i wodne, i ptaki, nie były lepsze od człowieka. Od owadów i mięczaków do wielkich ssaków, do człowieka, wszędzie życie było jedną nieustanną wojną, ciągłem „bij-zabij", nieprzerwaną gonitwą, walką bez wytchnienia i bez zmiłowania. Nie było ani jednej istoty, którąby mogła żyć, nie będąc zmuszona poświęcać innego życia. Piękny był świat w owych czasach, piękniejszy, niż dziś, był piękny w swej wiośnie dziewiczej, ale była to okrutna grzęda, na której żyli w krwawym znoju nietylko zrodzeni z niewiasty.

Gnane narówni z człowiekiem przez chciwość i okrucieństwo, uzbrojone w chytrość, skazane na używanie podstępu, jako broni ostatecznej, i wszelkie inne stworzenie szamotało się w tem burzliwem wężowisku zniszczenia, mimo że Bóg stworzył je w radości i przeznaczył do życia niewinnego i szczęśliwego.

Tego właśnie Przedwieczny miał już dosyć. Zasmucony, rozczarowany, spojrzał na świat; na życie zwierzęce i ludzkie; które tam kipiało, i powiedział: „Basta".

Spojrzał również na drzewa; które szumiały i falowały i ogarnęła go litość nad niemi. Popieścił ręką lasy i bory i rozległ się po świecie szum, nigdy przedtem nie słyszany.

— Wy jedne, drzewa; jesteście dobre, — powiedział Bóg. Pomyślał chwilę, potem dodał.

— Wy jedne pozostaniecie przy życiu. Świat będzie trwał w zieleni wiecznej wiosny. Od tej chwili, drzewa, nie będziecie traciły swoich liści.

Ludzie nawet ucieszyli się, widząc, że jesień mija a liście na drzewach, w górach i dolinach nie żółkną i nie opadają, że przyszły nawet mrozy, a drzewa stały, jak przedtem; w swoich zielonych koronach. Gdyby byli znali Boga, byliby mu może dziękowali, za to; że świat na stale pozostał taki zielony i piękny. Nie mieli jednak jeszcze o Nim żadnego pojęcia. Ktoś tam pomyślał, że dzieje się to z łaski słońca i w związku z tem jeszcze więcej krwawych ofiar mu poświęcił.

Człowiek nie omieszkał wykorzystać wiecznie zielonych sklepień borów i cieni gąszczy, które nigdy listowia nie traciły, by w nich przygotowywać lepsze zasadzki, umiejętniej niemi swoje zbrodnie maskować.

Przez pewien czas jedyną zmianę, jaką człowiek mógł zauważyć w tem wiecznem trwaniu zieleni, było to, że z nadejściem zimy; kiedy dni stawały się coraz krótsze, zieleń zaczynała się pstrzyć rdzawemi plamami, które w miarę dalszego kurczenia się dni przybierały coraz bardziej krwawe odcienie. Człowiek się tem nie przejmował. Do koloru krwi był przyzwyczajony, całe jego życie było nim zabarwione, toteż sprawiało mu nawet pewną przyjemność, kiedy widział, że i jego krajobraz na krwawo się zabarwia i tą czerwienią szaro-ołowiane kolory nieba zimowego ożywia.

Ale to trwało krótko. Wkrótce drzewa odzyskały swoją żywą zieleń i tylko gdzieniegdzie jaśniała szkarłatna pręga, jak to i dziś się zdarza, kiedy zbliży się okres przesilenia jesiennego. Przystosowały się i przyzwyczaiły drzewa, by nie umrzeć, tak, jak powoli miały umierać zwierzęta i ludzie; przystosowały się, by nie umrzeć spowodu febry.

Bo była to prawdziwa febra, która tak barwiła na purpurowo lasy i bory w owych dawnych czasach. Nawet dziś niektóre nasze drzewa cierpią na nią w jesieni i czerwienią się zanim liście potracą. To samo dzieje się u innych na wiosnę, kiedy pierwsze pączki się pokażą. Ale to jest gorączka łagodna, dobrotliwa, owszem korzystna dla wzrostu i samoobrony. Ale tamta, w owych niepamiętnych czasach, była bardzo ciężka i byłaby napewno zabójcza, gdyby była trwała.

Dlatego też, ponieważ Bóg powiedział, że tylko dobre drzewa pozostaną przy życiu, natura postarała się o wyleczenie ich z tej febry, przyzwyczajając je do tego nadmiernego utlenianiа, w którem wypadło im żyć, i które barwiło tak ich krew na czerwono, utrzymując ją w stanie gorączkowym. Wtedy zaburzenie krwi minęło, drzewa odzyskały swoją dawną zieleń, świat roślinny był ocalony.

* * *

Albowiem — jak każda istota żywa, roślina ma krew. Krew bezbarwną, w normalnych warunkach zupełnie zimną, jak zresztą u wielu innych istot żyjących, — ale krew. A posiada krew, bo oddycha, a oddycha, bo żyje. Bez oddychania niema życia. Można oddychać nie powietrzem, jak naprzykład niektóre mikroby, albo nasiona w ziemi, ale oddychać trzeba. A oddycha krew nawet w roślinach. Istnieją w sokach roślin drobne ciałka białkowate, które dla nich mają to samo znaczenie, co czerwone ciałka krwi dla człowieka i zwierząt wyższych, mianowicie umożliwiają oddychanie, czyli wymianę gazów, innemi słowy przyswajają tlen i wydzielają bezwodnik węglowy. Krew człowieka i wyższych zwierząt jest stale czerwona, albowiem znajduje się stale na wyższym stopniu utlenienia. To właśnie zabarwia hemoglobinę (czerwone ciałka krwi) na czerwono i daje człowiekowi ciepło potrzebne do życia, naszych drogich 36,6⁰. Jeżeli zaś to utlenienie z jakichkolwiek powodów będzie przyśpieszone, wówczas zabarwienie krwi staje się również silniejsze, ciepło jej większe — mamy gorączkę. To samo dzieje się i u roślin. One również wchłaniają podczas swojego nocnego oddychania tlen z powietrza i utleniają swoją krew. Ale w normalnych warunkach dzieje się to w tak nikłym stopniu i proces ten jest tak wolny, że ciałka krwi pozostają bezbarwne. Jeżeli jednak roślina zacznie oddychać bardziej intensywnie i szybciej, wówczas pojawia się w komórkach liści i ich pochodnych barwik czerwony, albo fioletowy i wypiera zieleń chlorofilów. Wtedy roślina ma prawdziwą krew.

Sprawa jest trochę niepokojąca. Ale okaże się jeszcze bardziej poważną, kiedy się dowiemy, że ta krew jest nawet ciepła. Roślina, która w normalnych warunkach jest prawie zupełnie zimna, ma wtedy gorączkę. Może być nawet gorączka po urazie. Istnieją rośliny, naprzykład krzaki róży, które nacięte, wykazują w miejscu nacięcia przez kilka dni wyższą temperaturę niż zazwyczaj. Sprawdzono to z całą ścisłością naukową. Więcej nawet, blizny po nacięciu zabarwiają się, jakby spowodu rzeczywistego napływu krwi, na czerwono. Inne rośliny zabarwiają się tylko pod zimę, by sobie w ten sposób ciepła przysporzyć. Inne z innych powodów, dużo by się o tem dało powiedzieć. W każdym razie jedno jest pewne. Jeżeli na roślinie pokażą się czerwone plamy, jest to dowód nadmiernego utlenienia.

Otóż to samo zaszło i w owych niepamiętnych czasach. Ale dlaczego tak się stało? Z bardzo prostej przyczyny. Rośliny są istotami o wiele bardziej skomplikowanemi, niż nam ludziom się wydaje. One nietylko oddychają, ale, jak sobie przypomną nawet ci, co najmniej w szkole uważali, mają one dwa rodzaje oddychania.

Rośliny mają odmienne oddychanie dzienne i nocne. Oddychanie nocne jest takie same, jak oddychanie zwierząt, to znaczy polega na przyswajaniu tlenu i wydzielaniu kwasu węglowego. Oddychanie dzienne ma przebieg wręcz odwrotny, w dzień roślina wchłania kwas węglowy, który jej jest potrzebny do skomplikowanych procesów biochemicznych, a wydziela hojnie tlen. To jest zbawienna działalność, jaką liście drzew i roślin spełniają na tym świecie. Najistotniejszą częścią rośliny są liście. Im powierza ona najważniejsze funkcje. Reszta rośliny oddycha również, ale na sposób zwierzęcy. Oddychanie roślinne, to, które oczyszcza i wzbogaca powietrze w tlen zostało powierzone liściom. Ale kiedy ono się odbywa? W dzień przy świetle słońca. Skoro tylko zmierzch nastanie, liście również wracają do zwierzęcego sposobu oddychania, odbierają powietrzu tlen; który mu dały i na równi z innemi stworzeniami zatruwają powietrze, kwasem węglowym.

Kiedy zaś rośliny mają najwięcej liści? Na wiosnę i w lecie, wtedy, kiedy słońce najdłużej świeci, kiedy oddychanie roślinne może być o wiele dłuższe, niż zwierzęce, czyli kiedy rośliny przez swoje liście mogą oczyszczać powietrze i wzbogacać je w tlen. Gdyby wszystkie rośliny zachowały swoje liście i wtedy, kiedy światło słoneczne trwa najkrócej t. j. w zimie, łatwo domyśleć się, coby się stało.

Przeważałoby oddychanie nocne, olbrzymia ilość listowia na naszym globie wchłaniałaby więcej tlenu, niżby była w stanie powietrzu zwrócić, zalałaby więc atmosferę kwasem węglowym, a sczasem powietrze stawałoby się coraz biedniejsze w tlen, stawałoby się dla nas niemożliwem do oddychania, podczas gdy rośliny pijane tlenem zabarwiłyby się krwawą czerwienią, życie zwierzęce i ludzkie zamierałoby powoli lecz nieubłaganie. Natura zapobiegła temu w sposób bardzo prosty. Kiedy dni zaczynają się skracać, ona zmniejsza równocześnie ilość oddychania w świecie roślinnym, pozostawiając tylko tyle, ile potrzeba dla zachowania równowagi. Pozbawia poprostu większość roślin płuc. Czyni tak, że drzewa tracą liście. Gdyby zaś liście z drzew nie spadały, mybyśmy wyginęli.

* * *

Otóż taki właśnie wyrok skazujący Przedwieczny raczył wypowiedzieć w owych czasach zamierzchłych, kiedy rozgniewał się spowodu zbrodniczości naszego świata. Minęły jeszcze tysiąclecia i powoli, powoli życie zwierzęce zaczęło zamierać. Ziemia była jedną wielką bujną puszczą zieloną, w której tu i ówdzie zdarzały się czerwone, szkarłatne plamy; lecz w cieniu tych gąszczy leśnych niektóre gatunki już zupełnie wyginęły, inne były na wymarciu.

Zwierzęta bardziej rozumne, a przedewszystkiem człowiek, szukały ocalenia w coraz wyższych miejscowościach, na szczytach gór. A tam w dole, śmierć świata zwierzęcego użyźniała ziemię, drzewa wysysały z niej soki odżywcze i rosły coraz bujniej, dławiąc wszystko coraz bardziej.

— Wy jedne drzewa jesteście dobre, wy jedne będziecie żyły — tak powiedział Przedwieczny. I pewnego dnia znów zwrócił ku nim Swoje spojrzenie, zanurzył dłonie w ich gęste zielone fale, odchylił gęste konary i gałęzie i zajrzał w głąb knei...

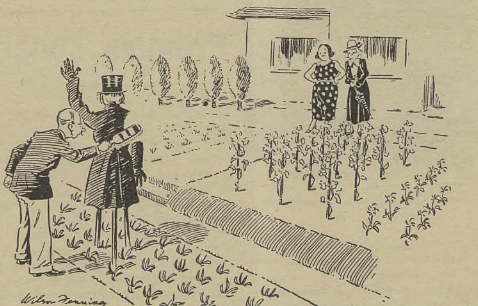
Smutek! Nigdy nie widział takiego okrucieństwa, takiej przewrotnej zachłanności, ani u zwierząt, ani nawet u ludzi. Świat roślinny, świat „dobrych drzew" w rzeczywistości pozostał tem, czem zawsze był, światem zbrodniarzy, złodziejów, dławicieli, kanibalów żebraków, pasorzytów, światem w którym od najmniejszej roślinki do szumiącego olbrzyma jedna istota dopuszcza się na innej największych i najnikczemniejszych zbrodni, byle tylko zabrać jej miejsce w słońcu i powietrze do oddychania.

Westchnął Przedwieczny, i potrząsnął swoją wielką głową. A na hali górskiej bawiło się wychudłe dziecię. Spojrzał Przedwieczny na nie i uśmiechnął się.

— Może ty człowieku — powiedział — jesteś jeszcze najlepszem i najpiękniejszem Mem dziełem.

Jak tyle wieków przedtem, podniósł Swoją dłoń nad nieskończonością zieleniejących lasów. I powróciła jesień. Zielone korony zaczęły żółknąć. Liście zaczęły opadać, gałęzie ogołacały się, a powietrze uwalniać od trucizny. Świat, którемu przebaczono, rozpoczął życie na nowo.

„Corriere della Sera" Medjolan



Staranny ogrodnik. *„The Passing Show", Londyn.*

Rządy dyktatorskie w Bułgarji

„Autorytatywny" rząd Georgjewa, utworzony dnia 19 maja bieżącego roku, zmienił gruntownie w ciągu czterech miesięcy politykę wewnętrzną Bułgarji. Znikła wolność słowa i prasy. Przestały istnieć parlament i partje. Władcy, znajdujący oparcie w armji, rządzą krajem zapomocą dekretów i rozporządzeń.

Sumienny badacz otrzymałby niedokładny obraz, gdyby chciał sytuację Bułgarji ocenić schematycznie według szablonu, według panujących gdzieindziej pojęć demokracji lub dyktatury.

Przedewszystkiem w Bułgarji od roku 1923, od zabójstwa Stamboliskiego, nie istnieje już demokracja. Wszystkie rządy od rządu Zankowa do Muszanowa były mniej lub więcej ukrytemi dyktaturami. To, co pozostało z demokracji, parlamentu i partyj, straciło zaufanie mas przez porzucenie swych zasad, nieudolną gospodarkę, korupcję, bezczynność, niesnaski i egoizm. Demokracja bułgarska w znacznej mierze sama przyczyniła się do swego upadku.

Z drugiej strony dyktatura Georgjewa może wykazać się znacznemi zasługami, osiągniętemi w ciągu tych czterech miesięcy. Nie można ich w żadnym wypadku negować. Jest zupełnie naturalne, że rząd, który usunął wszystkie partje ma w dawnych przywódcach i funkcjonarjuszach partyjnych zagorzałych przeciwników. Nie znaleźliśmy jednak ani jednego opozycjonisty, któryby nie wyrażał się z wielkiem uznaniem o poczynaniach obecnego rządu i o uczciwości jego kierownika.

Faktem jest, że rząd Georgjewa podjął walkę o poprawę tragicznego losu chłopów bułgarskich. Jest zbyt wcześnie na wydanie sądu, ponieważ zasadnicze punkty programu nie zrealizowały się jeszcze. Nie można przewidzieć zgóry, jak moratorjum, regulacja cen i monopole wpłyną na ogólny stan ekonomiczny Bułgarji i w jakim stopniu poprawią warunki bytu robotników i mieszczaństwa. Wykaże to najbliższa przyszłość. W każdymbądź razie rząd podjął się czegoś konkretnego, czego nie zrobili jego poprzednicy.

ZNIKŁ TEROR MACEDOŃSKI

Bezprzeczną jednak zasługą rządu i to o znaczeniu wprost historycznem jest wyzwolenie kraju z teroru band macedońskich. Czego poprzednio nikt nie śmiał naruszyć, znikło obecnie zupełnie z powierzchni ziemi. Nie było w Sofji zaułka, któryby nie nosił krwawych śladów teroru band macedońskich. Obecnie jest w Sofji spokojnie i bezpiecznie.

W prowincji Petricz dawniej istniało państwo w państwie, obecnie żadna banda macedońska nie ściąga podatków, nie rabuje, nie wymierza swej sprawiedliwości, nie skazuje nikogo na śmierć. Bandy są rozbrojone. Odebrano im 10.000 karabinów, wielu członków „Imro" osadzono w więzieniu, a ich przywódca, Michaiłow, uciekł do Turcji.

Ten czyn rządu ma również znaczenie ogólnoeuropejskie. Organizacje macedońskie, częściowo utrzymywane i opłacane przez zagranicę, uniemożliwiały osiągnięcie porozumienia bułgarsko-jugosłowiańskiego. Obecnie nic nie stoi na przeszkodzie do zawarcia sojuszu między obu bratniemi narodami. Najlepszym tego dowodem jest oficjalna wizyta, którą król jugosłowiański ma złożyć obecnie w stolicy bułgarskiej. Gdyby nie usunięto wpływów organizacyj macedońskich, ta podróż byłaby nie do pomyślenia.

Drugą poważną zasługą rządu Georgjewa w polityce zagranicznej jest nawiązanie stosunków dyplomatycznych z Rosją. Poseł rosyjski Raskolnikow jest już w drodze do Sofji i rząd bułgarski oczekuje z tej nowej przyjaźni korzyści gospodarczych, a przedewszystkiem wymiany tytoniu bułgarskiego na naftę rosyjską.



Dwa autobusy „mijają" się...

RZĄD A GENERAŁOWIE

To są w grubszym zarysie zasługi polityki wewnętrznej i zewnętrznej nowego rządu. Jednakże istnieje obawa o losy tej dyktatury, która dzierży władzę bez kontroli narodu i bez poparcia mas, nie darzących jej zbytniem zaufaniem. Rząd ten uformowany przez grupę oficerów, może być już jutro przez nich obalony.

Generałowie są rozstrzygającym czynnikiem politycznym. Bardzo objektywni obserwatorzy nie przepowiadają Georgjewowi i jego ministerstwu długiego żywota. W armji nastąpiło pod względem politycznym rozdwojenie, istnieje tam bowiem ferment. Organizacje macedońskie mają również i tam swych zwolenników, a to, że Michaiłow zdołał bezkarnie uciec do Turcji, daje wiele do myślenia.

Na tem polega różnica między demokracją a dyktaturą, że samowładne rządy, ustanowione siłą i od niej zależne, mogą się w ciągu jednej nocy zmienić. Dyktatura jest i pozostaje grą hazardową, w której losy narodu są stawką.

Żaden naród nie ucierpiał tyle wskutek wojny, co Bułgarja. Jej historja z czasów powojennych jest jednem krwawem pasmem udręk. Światowy kryzys rolniczy powiększył do niesłychanych rozmiarów nędzę chłopów bułgarskich. Nic więc dziwnego, że ten demokratyczny naród chłopski po strasznych i krwawych doświadczeniach ostatniego dziesięciolecia nie darzy zaufaniem rządu, który włada kajem ponad jego głowami i ponad jego organizacjami.

Niebo chmurzy się nad Sofją. Rząd niema poparcia ludu, a pozatem i korona ma z nim osobiste porachunki. Epoka 19 maja zaczęła się pomyślnie, lecz niewiadomo jaki ją czeka los.

„Pariser Tageblatt", Paryż.

Przyjazd króla Aleksandra do Sofji

Dyplomacja europejska przywiązuje wielkie znaczenie do wizyty króla Jugosławji Aleksandra, w stolicy Bułgarji, Sofji.

Dnia 27 września w związku z przyjazdem jugosłowiańskiej pary królewskiej, Sofja przedstawiała sobą niezwykły widok. Całe miasto było obwieszone sztandarami obu państw. Droga od dworca do zamku, długości czterech kilometrów, była ozdobiona girlandami, sztandarami i godłami obu krajów. Przy lwim moście i przed ratuszem ustawiono wysokie słupy, ozdobione godłami państwowemi i monogramami obu par królewskich. Ilość ludzi, która przyglądała się wjazdowi jugosłowiańskiej pary królewskiej dosięgła wraz z przyglądającymi się z okien i balkonów 100.000 osób.

Wezbrane w ciągu ostatnich kilku dni napięcie, znalazło ujście podczas przejazdu pary królewskiej przez miasto w entuzjastycznych okrzykach. Wyrażały one uznanie dla zbliżenia bułgarsko-jugosłowiańskiego.

Pierwsze powitanie jugosłowiańskiej pary królewskiej nastąpiło na bułgarskiej stacji granicznej, w Dragomanie, gdzie bułgarscy oficerowie, przydzieleni do pełnienia gwardji honorowej, przedstawili się królowi Aleksandrowi. Całą trasę od Dragomanu do Sofji obsadzili chłopi, przybyli z okolicznych wiosek, i witali gorąco przybyłych.

„Prager Presse", Praga.

Na szosach bałkańskich

W Macedonji, Grecji, Peloponesie pociągi poruszają się z szybkością 10 kilometrów na godzinę, a na szczególnie dobrych odcinkach wyciągną może piętnaście. Taką żółwią szybkość osiąga u nas (w Niemczech) naładowany po brzegi wóz chłopski, zaprzężony w parę silnych koni. Macedonję przytem należy już uznać za przodującą w postępie — posiada bowiem pociągi, które nam służyły w czasie wojny światowej, jako koleje polowe i łącznikowe.

Ale Pelopones! Do Argosu lub Olimpji, miejsc igrzysk, sławnych świadków starogreckiej wspaniałości, prowadzi tylko wąskotorowa kolejka z roku 1870! Pierwszą klasę tego pociągu tworzy stary, dawnego typu wagon towarowy bez przedziałów, z małemi okienkami. Wzdłuż jego czterech ścian biegnie wąska zupełnie niska, wykładana czerwonym pluszem, kołysząca się ławka. Może tam znaleźć pomieszczenie 19 osób lub dwa konie!



Na drogach brak jest stacyj benzynowych: autobus ma własny zapas i pompuje się benzynę... ustami.

Komisja, która przed kilkoma laty objechała kraj, by zbadać stan kolejnictwa i zaradzić złu, oświadczyła co następuje:

— Bułgarja i Grecja są w tem szczęśliwem położeniu, że nie powinny, jak inne państwa zwracać uwagi na majątek narodowy, tkwiący bezużytecznie w kolejach. Należy rozbudować szosy i zaprowadzić szybką komunikację autobusową. Ten środek lokomocji nie wymaga, jak kolej, aby olbrzymie oszczędności narodowe, ulokowane w tory kolejowe i w wagony poruszające się na szynach, stale były uzupełniane. Tak orzekła szanowna komisja. Bankierzy amerykańscy łaskawie skinęli głowami na ten projekt — było to jeszcze w okresie pomyślnej konjunktury w latach 1926—1929 — i użyczyli znacznej pożyczki na budowę dróg na Bałkanach. Żądali tylko wzamian uruchomienia na tych szosach amerykańskich autobusów i samochodów ciężarowych.

Niestety, te pieniądze nie wystarczyły, chociaż płace są tam w porównaniu z naszemi wyjątkowo niskie. Nie wykonano więc należycie podkładów, a górne warstwy asfaltu zmywał pierwszy ulewny deszcz.

Auta, poruszające się na tych drogach, biorą wszystkie przeszkody. Podróżuje się na tych szosach autobusem lub prywatnym wozem raźnie i bez narażenia się na niebezpieczeństwo poprzez wyboje i stosy kamieni. Bajką są skargi na zarazę i brud: w jakiejś małej wiosce, leżącej na trasie, którą jechałem, proponowano mi świeże owoce i szklankę czystej, źródlanej wody, w której pływało kilka kawałków lodu! A na każdym postoju opada was rój przebiegłych chłopców z szczotkami i szmatami, aby raz jeszcze oczyścić „zakurzone" obuwie.

Sądzimy jeszcze ciągle, że Europa jest już „gotowa", że prastarych warunków bytu należy szukać poza jej granicami, w innych częściach świata. Tutaj w tej najstarszej Europie, tutaj, gdzie przedewszystkiem powstały nazwa i pojęcie „Europa", właśnie tutaj podróżnik znajduje jeszcze dzisiaj tyle pierwotności, ile w najgęstszej puszczy... tutaj: mianowicie w tych bezpiecznych i posiadających świetne sprężyny macedońskich autobusach „pośpiesznych", które biorą wszystkie przeszkody.

„Die Woche", Berlin.

Promień światła otwiera drzwi

Pewien policjant, patrolujący ulice Londynu, oświetlił latarką elektryczną drzwi pewnego garażu. Rozległ się trzask i, niczem grota Ali Baby, drzwi garażu otwarły się same. Wewnątrz nie było nikogo i zdumiony policjant nie mógł sobie tego niezwykłego faktu wytłumaczyć.

Przyczyną jego było poddanie drzwi garażu działaniu komórki fotoelektrycznej — nowego, niewidocznego dozorcy. Przypadek chciał, że światło latarki padło właśnie na tajne urządzenie.

Kiedy światło pada na jedno z zakończeń przewodu elektrycznego komórki, powstaje prąd, który wzmacnia się tysiące razy i otwiera zamek.

Koleje podziemne w Londynie używają komórki fotoelektrycznej przy ruchomych schodach. Im więcej osób chodzi po schodach, tem szybciej poruszają się one. Wszystko to dzieje się bez udziału człowieka.

Pewne kino londyńskie zainstalowało podobne urządzenie przy kranie z wodą do picia. Ilekroć ktoś zbliża się i pochyla nad kranem zasłaniając sobą światło, woda zaczyna ciec, poczem automatycznie przestaje.

W składach maszyn foto-komórki zapewniają całkowite bezpieczeństwo. Kiedy ręka sprzedawcy zbliża się zbytnio do maszyny i trafia na promień światła, maszyna przestaje działać.

Pewien londyński agent giełdowy, kawaler — umieścił foto komórkę przy budziku. Kiedy rano promienie słońca padają pod określonym kątem, budzik zaczyna głośno dzwonić i budzi pomysłowego agenta.

„The Sunday Referee", Londyn.

NA SREBRNYM EKRANIE

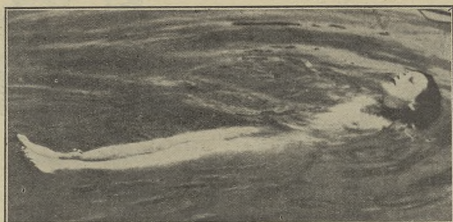
Najpiękniejszy ale i najniemoralniejszy

Dzieje filmu „Ekstaza"

Głównym cenzorem filmowym we Włoszech jest Benito Mussolini, i to bardzo surowym, jeżeli chodzi o moralność filmów. Lecz niedawno Duce złagodniał zupełnie i otworzył granice Włoch dla wszelkich filmów z okazji Międzynarodowej Wystawy Filmu w Wenecji. Aby przygotować tę wielką przynętę dla turystów, pozwolono wszystkim większym wytwórniom na świecie przysłać najlepsze ich zdaniem filmy, kóre miały być wyświetlone bez cenzurowania. Największy sukces odniósł film „Ekstaza" produkcji czechosłowackiej, zakazany prawie we wszystkich krajach Europy.

Pani Fritz Mandel, żona prezesa znanej austrjackiej fabryki amunicji w Hirtenbergu, przejażdżkę konną. Nad rzeką rozbiera się, przywiązuje suknię do siodła konia i udaje się do rzeki, by trochę popływać. Podczas, gdy ona znajduje się w rzece, koń ucieka z suknią. Zjawia się kochanek i pomaga jej schwytać spłoszone zwierzę. Naga, jak pramatka Ewa, Ewa dziękuje młodzieńcowi za konia i za suknię i ma już odjechać, ale potknąwszy się doznaje drobnego okaleczenia, co sprawia, że oboje spędzają noc w szałasie. W scenach z szałasu, reżyser czechosłowacki ogranicza się wyłącznie do zbliżeń twarzy Ewy, które nawet krytycy paryscy uznali za „krańcowo śmiałe". Potem mąż popełnia samobójstwo.

Osoby, które widziały „Ekstazę", poskarżyły się potem w Citta del Vaticano, a skargi te doszły nawet do uszu Ojca Świętego. Następnego dnia organ oficjalny Watykanu „Observatore Romano" napiętnował to, co się dzieje w Wenecji, skarżąc się szczególnie na to, że pewien, nawiasem mówiąc nudny, obraz francuski, który uwypuklał piękno katedr gotyckich we Francji był wygwizdany, podczas gdy taka „Ekstaza" stała się najpopularniejszym obrazem tygodnia.



Pani Heddy Kiesler w filmie „Ekstaza"

była przed swojem małżeństwem artystką filmową i debjutowała jako Heddy Kiesler w roli Ewy w „Ekstazie". Magnat przemysłowy Mandel, jej małżonek, nietylko robi wszystko co może, aby film ten był zakazany w jaknajwiększej ilości krajów, lecz wykupuje nawet afisze, na których jego żona figuruje, jako primadonna w „Ekstazie".

Prawie tak cichy, jak nowoczesny film Chaplina, i w technice do niego podobny, film „Ekstaza" osiąga swoje efekty czterema postaciami, Ewą, mężem, kochankiem i ojcem.

Ojciec ma stajnię wyścigową. Ewa wraca do niego, ponieważ mąż zdradził ją w samą noc poślubną. Pewnego dnia Ewa wyjeżdża na

Mimo, że „Ekstaza" zdobyła największy sukces, pierwsza nagroda przypadnie sprawnością innemu, mniej popularnemu, ale bardziej „moralnemu" filmowi.

„Time", Nowy Jork.

W Anglji o Janie Kiepurze

Czarująca komedja

Znawcy powiadają, że Kiepura ma pod względem technicznym lepszy głos, niż Ryszard Tauber. Wiem tylko tyle, ilekroć Kiepura śpiewa, jestem jakby zahipnotyzowany i wolę słuchać jego śpiewu, niż czyjegokolwiek innego.

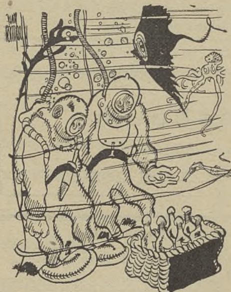
Jan Kiepura debjutował w operze warszawskiej w roli tytułowej w Fauście. W maju 1927 po sukcesach we Wiedniu i w Paryżu przybył do Londynu i śpiewał w Albert Hall'u.

Dziś śpiewa w filmach.

„Zdobyć cię muszę", w którym Kiepura gra rolę śpiewaka operowego o wspaniałych białych zębach, jest czarującą sztuką osnutą na tle flirtu i nieporozumień. Śpiewak szuka miłości. Jego impresarjo nie szuka miłości, owszem unika jej. Zadaniem impresarja jest dopilnować, by śpiewak dotrzymał swoich kontraktów. A kiedy to, spowodu pięknej kobietki, staje się niemożliwe, wtedy impresarjo musi za niego śpiewać. Jest to nonsens, ale miły nonsens.

Zamiast przedstawić sławnego Jana Kiepurę w filmie, gdzie każdy szczegół jest zrobiony tylko dla niego i gdzieby musiał stale śpiewać we fraku, pokazują go nam w komedyjce. Rezultat jest bardzo ciekawy.

„Sunday Referee", Londyn.



Jaka szkoda, że nigdy nie piję podczas pracy!

„1934", Paryż.

Przestań pan śpiewać panie Kiepura!

W kinie The New Gallery p. Jan Kiepura nieustannie śpiewa stentorowym głosem w ckliwym filmie, pełnym piękności w kostjumach kąpielowych, zatytułowanym „Zdobyć cię muszę". Poczułem niezwyciężoną chęć wypowiedzenia do mojego sąsiada kilku ostrych uwag na temat tego filmu. Pewna dama, która widocznie rozkoszowała się tym śpiewem, odwróciła się i zaprotestowała energicznie, a ja odpowiednio się usprawiedliwiałem.

Teraz tym samym stentorowym głosem, jaki musiałem słuchać w filmie „Zdobyć cię muszę", podnoszę uroczysty protest przeciwko takim bezsensownym hałasom w filmach. Inaczej poskarżę się ministrowi Hore Belisha, który tak skutecznie walczy z hałasem na ulicach.

„Sunday Times", Londyn.

Szkarłatna Caryca Marleny Dietrich

Niezgoda między Marleną Dietrich i Sternbergiem nie trwała długo. Po nakręceniu filmu „Pieśń nad pieśniami" z Mamoulianem, słynna artystka wróciła spowrotem do swego dawnego reżysera.

Okrutna Caryca jest pierwszym tworem tego pojednania. Sternberg powziął myśl odtworzenia na ekranie tragicznej postaci Wielkiej Księżnej Katarzyny, ex-Sophie- Fryderpki Anhalt, przyszłej Katarzyny II-ej.

Historja podaje, że kiedy carowa Elżbieta wybrała ją na żonę wielkiego księcia Piotra, przyszłego następcy tronu, mała księżniczka Anhalt, przybywszy do Petersburga, omal nie zemdlała z przerażenia; na widok swego narzeczonego, taki był brzydki. Zrozumiała, że wydano ją za degenerata i została wkrótce kochanką jednego z szambelanów swego męża, Sołtykowa.

Później, była kochanką oficera straży przybocznej, Orłowa. Wreszcie, dowiedziawszy się, że mąż chce ją porzucić, by móc poślubić starą metresę, dokonała przy pomocy Orłowa zamachu stanu. Ogłosiła się carową Rosji, ruszyła na Petersburg i uwięziła Piotra III w zamku Ropsza.

— Wybacz nam matiuszka, — pisał do nowej władczyni w kilka dni potem Aleksander Orłow, — nasz idjota próbował stawiać opór, no i skończyliśmy z nim...

Europa otrzymała wiadomość, że car umarł na hemoroidy. Alembert, któremu Katarzyna II powierzyła wychowanie carewicza, miał się wyrazić w związku z tem:

— Ja też choruję na hemoroidy, a ta choroba jest bardzo niebezpieczna w waszym kraju...

Autor scenarjusza „Katarzyny Wielkiej", filmu Aleksandra Kordy zmienił ten bieg wypadków na swój sposób, przeobrażając np. Piotra w pięknego, pełnego inteligencji mężczyznę, którego księżniczka kochała, nim jeszcze wiedziała, że ma być jej narzeczonym. Zupełnie w stylu Hollywood! Wzamian za to, reżyserowie tego filmu oddali całkiem dobrze zły gust pałacu cara, dziwaczne jego dekoracje, mieszaninę marmuru i lapisu.

W „Szkarłatnej Carycy" Sternberga wszystko odbywa się inaczej. Z wyjątkiem nielicznych szczegółów, autor tego scenarjusza trzymał się ściśle prawdy historycznej. Sternberg pogłębił znajomość stylu rococo i gotyku. Czy akcja odbywa się w pałacu zimowym, czy w Petersburgu, czy w katedrze — widać wszędzie drewniane posągi, ponurych mnichów, podobnych do płaczących grobów średniowiecza. Są także posągi demonów i fantastycznych zwierząt północy. Te, które widzimy w sali obrad w Petersburgu, mają po cztery metry wysokości i wiją się w fantastycznych wykrętasach. Ale nie jest to wybujały styl średniowiecza, jakby ktoś mógł przypuścić, tylko poprostu fasada „Piekła" z Montmartr'u...

Te anachronizmy, pikantne wynalazki rzucają się w oczy, a jednak film nie traci na tem wcale. Wprost przeciwnie pochłania całkowicie widza. Sternberg pokazuje nam ciągle posągi, automaty lalki, którymi bawi się idjotyczny Piotr, ciężkie, żelazem kute podwoje, kandelabry, gaje świec w katedrze, i wreszcie udaje mu się narzucić widzowi swoją wizję. Jego dzieło nie składa się z jakichś oddzielnych części. Tworzy znakomitą całość, czuje się jednego twórcę i to nie byle kogo: specjalistę.

O artystce tego pokroju, co Marlena Dietrich, nie można mówić, że czyni postępy. Faktem jest, że odtwarza w tym filmie rolę, której byłaby nie podołała jeszcze dwa lata temu.

„Les Annales", Paryż.

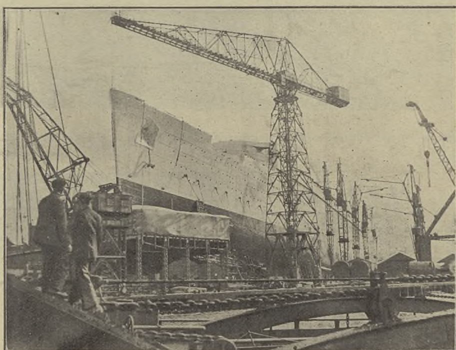
Największy okręt świata

Ten nowy Cunarder jest wyzwaniem Anglji pod adresem całego świata i cały świat przyjął je z wdzięcznością, jako zapowiedź nowej ery dobrobytu i postępu.

Same liczby nie mogą dać należytego wyobrażenia o ogromie i majestacie tego okrętu. Tylko przy pomocy porównań możemy sobie urobić pojęcie o jego rozmiarach.

Przy montażu kadłuba zużyto tyle nitów, że gdyby je ułożyć w prostej linji, pokryłyby przestrzeń między Londynem a Newcastle. Jeden komin wystarczyłby zupełnie, aby zmieścić w sobie pierwszy okręt Cunard Line „Brytanję".

Jego dwie wielkie stacje elektryczne mogłyby zaopatrzeć prądem miasto wielkości Dundee (150 tys. mieszkańców).



Nowy olbrzym morski: 73 tys. tonnowy „Quen Mary", spuszczony na wodę w Glasgow.

Przeszło 1.000 stóp długi i 73 000 pojemności tonn, nowy Cunarder jest trzy razy dłuższy, niż fasada pałacu Buckingham'skiego.

Na pokładzie głównym mogą się wygodnie zmieścić trzy boiska footbalowe, a jest jeszcze pozatem dziesięć innych pokładów, każdy imponujący rozmiarami i przestrzenią

Wszystko w tym okręcie jest rekordowe. Ster ważący 140 tonn jest tak świetnie zrównoważony, że jednym palcem można go poruszać. Do najpotężniejszych w historji łańcuchów kotwicowych umocowano przeszło cztery mile specjalnie wypróbowanych sznurów i lin okrętowych.

„Sunday Referee", Londyn.

NUDYŚCI CHCĄ MIEJSCA W PARLAMENCIE

Doskonale zorganizowani nudyści angielscy odbyli ostatnio w okolicach Londynu uroczysty kongres, na który przybyli w strojach przepisowych.

Przewodniczący kongresu, człowiek godny szacunku i ponadto artysta z zawodu, oświadczył, że nudyzm winien teraz jasno sprecyzować swe żądania i że należy się domagać od rządu oficjalnego uznania.

Na to przedstawicielka nudyzmu szkockiego wykrzyknęła, poniesiona zapałem:

— Nie osiągniemy nic, jak długo nie będziemy mieli własnego przedstawiciela w parlamencie! Trzeba nam posła-nudysty!

Jeżeli żądaniom kongresu stanie się zadość, nastaną niewątpliwie piękne dni dla parlamentu angielskiego, zwłaszcza o ile poseł-nudysta zechce zasiadać w uniformie!

„La Vie Parisienne", Paryż.

Wiele brylantów znajduje się na świecie

Przewodniczący giełdy brylantowej, która, jak wiadomo, znajduje się w Amsterdamie, sądzi, że brylanty, znajdujące się na całym świecie, ważą 50 tonn i przedstawiają wartość tryljona franków.

Liczby te mogą się na pierwszy rzut oka wydać fantastyczne, lecz nie należy zapominać, że w kopalniach djamentów jest zatrudnionych przeszło 500.000 ludzi, a przy szlifowaniu ich na brylanty znajduje pracę więcej niż 25.000 ludzi. Na świecie znajduje się 10.000 rynków hurtowych na brylanty i sto tysięcy jubilerów. Obecnie większość brylantów znajduje zastosowanie w przemyśle, lecz, jeżeli mamy wierzyć słowom p. przew. giełdy, ludzie prywatni znowu zaczynają je kupować. Niestety, zabrakło najlepszych klientów z czasów przedwojennych — byli nimi rosjanie.

„La Stampa", Turyn.



Miljoner, który cierpi na bezsenność, stosownie do rady lekarza, liczy owce, aby zasnąć... „Razzle", Londyn.

DWAJ PANOWIE T

Mieszkańcy dziesiątego okręgu w Paryżu otrzymują od kilku dni następującą ulotkę:

„P. Andrzej Tardieu, kupiec, ulica X... ma zaszczyt zawiadomić szanownych klientów, że po dwuletniej przerwie, spowodowanej chorobą, ponownie otworzył sklep".

Poniżej, piórem kupiec dodał następujący dopisek:

„P. Andrzej Tardieu, kupiec, nie ma nic wspólnego z p. Andrzejem Tardieu, ministrem".

Można się było tego, zresztą, spodziewać.

„Marianne", Paryż.

Pięciu najsławniejszych francuzów

Pewien kalifornijski tygodnik literacki ogłosił „ankietę inteligencji" wśród swoich czytelników i zadał im następujące pytanie:

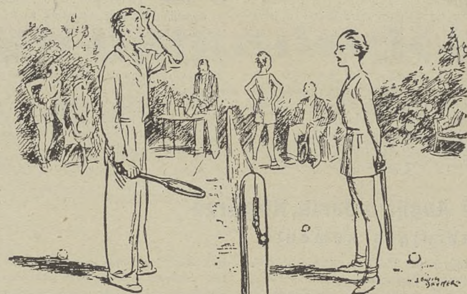
— Jakie są znane panu najsławniejsze nazwiska Anglji, Francji, Włoch, Rosji Niemiec i Stanów Zjednoczonych?

Francuzi zostali uszeregowani w następującym porządku: 1) Napoleon, 2) Victor Hugo, 3) Maurice Chevalier, 4) Georges Carpentier, 5) Jean Jaurès.

„Marianne", Paryż.



Tenis 1900.
On: Pobiłabyś mnie Pani, gdyby nie przeszkadzała Pani długa spódnica.



Tenis 1934.
Ona: Pobiłby mnie pan, gdyby panu nie przeszkadzały długie spodnie. *„Punch", Londyn.*



Redakcja: Warszawa, Króla Alberta I Nr. 3, tel. 2-33-19, czynna w poniedziałki godz. 18—19. Konto P. K. O. Chronos Nr. 14-9-46.

Administracja: Warszawa, Króla Alberta I Nr. 3, tel. 2-33-19, czynna codziennie 10—13. Prenumerata w kraju: mies. 1 zł. 60 gr., kwart. 4 zł. 80 gr.; zagranicą mies. 3 zł., kwart. 9 zł. Ogłoszenia: za wiersze 1 mm. szerokości 1 szpalty 70 groszy, za tekstem; 90 groszy w tekście.

Redaktor odpowiedzialny: Michał Sass. Wydawca: **Wydawnictwo „Chronos" sp. z o. o.**

Druk. „Monolit", Warszawa, ul. Elektoralna 3, tel. 5.81-92.